AS



Nr. 19.

10 MAJA 1936 ROKU.

CENA 40 GROSZY.

FILUTERNY UŚMIECH

KSIĘŻNICZKA Z ZIELONEJ WYSPY.



Księżniczka Elżbieta wraz z młodszą swą siostrą ks. Małgorzatą Różą.

Elżbieta-Aleksandra-Marja, córka księcia Yorku, jest, mimo swych 10 lat, najważniejszą, poza królem angielskim, osobistością w Wielkiej Brytanji. Jeżeli król Edward VIII nie będzie miał potomstwa, a rodzice księżniczki — syna, zajmie ona drugie miejsce w następstwie tronu, gdyż prawa sukcesyjne monarchji angielskiej dają jej pierwszeństwo przed jej stryjami, książętami Kentu i Gloucester. W ten sposób mała „Lilibeth" może zostać pewnej chwili królową Wielkiej Brytanji, Irlandji i dominjów za morzem. Nie należy jednak sądzić, aby ta przyszła wielkość ją oszałamiała, przeciwnie, przyszłe zaszczyty przyjmuje ona spokojnie, jak mała, grzeczna dziewczynka. Zgon Jerzego V., dziadka księżniczki, pogrążył ją w ciężkiej żałobie.

Gdy pewnego razu usłyszała, że wkrótce ojciec jej zacznie nosić tytuł księcia Kornwalji, spytała się nieco zamyślona:

— Czy będę go mogła w dalszym ciągu nazywać Daddy? A gdy otrzymała odpowiedź potwierdzającą, upewniła się jeszcze:

— A będę mogła jeszcze bawić się lalkami?

Od pierwszych lat życia mała księżniczka odbywała liczne podróże między Londynem a wspaniałemi rezydencjami królewskiemi Sandringham, Glamis Castle i Balmoral. Wcześnie też pokochała ona wieś i zawarła szczerą przyjaźń z różnemi zwierzętami i całą naturą. Najbliższemi jej powiernikami są dwa pieski Brownie i Blackie, i kuc Rosie. Pierwszą przejażdżkę konną odbyła mała Lilibeth w czwartym roku życia, a po tej pierwszej lekcji ekwitacji nastąpiły dopiero lekcje czytania i języka angielskiego. Pewnego razu wybrała się księżniczka na swoim kucu na spacer i zamierzała przeskoczyć przez żywopłot, lecz sprytny kuc, wiedząc jak wielką personę dźwiga na swym grzbiecie, sprzeciwił się zasadniczo wykonaniu skoku i księżniczka „przeleciała" głową naprzód przez żywopłot. Wtedy podnosząc się z ziemi i zauważając, że rozbite jej kolana krwawią, zdobyła się na powiedzenie, które cechuje jej energiczny charakter.

— To nic nie szkodzi, jeszcze niejedno będę musiała przeżyć!

Na imieniny jej, które przypadają na 21 kwietnia, otrzymuje ona tysiące listów i przesyłek ze wszystkich stron Zjednoczonego Królestwa. Nieraz na liście figuruje adres skreślony niewprawną ręką, „princesse Elisabeth". Jedna z tych przesyłek, która zrobiła małej Elżbiecie najwięcej przyjemności, zawierała zrobioną z drzewa małą królikarnię. Prezent pochodził od hodowców królików australijskich, którzy w swej, nieraz ciężkiej pracy, dającej plon 7 miljonów dzikich królików rocznie, wspominają często małą księżniczkę, jako symbol oddalonej ojczyzny. Nieraz otrzymuje też olbrzymie zabawki, zrobione z kartonu i będące prawdziwem dziełem sztuki. Mówią, że obdarowana temi prezentami otwiera wszystkie przesyłki, zachwyca się przez chwilę zabawką, ale zwykle oddaje je swej młodszej siostrze księżniczce Małgorzacie Róży. W swoim pokoju rozdzielają one zabawki na dwie części: jedną z nich zatrzymują dla siebie, zresztą znacznie mniejszą, drugą przeznaczają dla biednych dziewczynek. Nie zdarzyło się nigdy, aby bratanica Edwarda VIII zapomniała o biednych dzieciach robotników kopalnianych, to też otrzymują one nieraz najwspanialsze dary, ofiarowane przez hinduskich maharadżów, potężnych lordów angielskich, czy też bogatych przemysłowców.

Dzień w dzień księżniczka Elżbieta z zainteresowaniem przygląda się zmianie warty, odbywającej się na dziedzińcu pałacu królewskiego w Buckingham. Lecz jest się też czemu przyglądać! Najbardziej dorodni i rośli mężczyźni służą w gwardji, to też budzą oni zachwyt Elżbiety. W towarzystwie jednego szambelana, pełniącego służbę, przyszła

Mała księżniczka jest zapaloną... sportsmenką!





Przyszła królowa Anglji na spacerze z matką swoją, księżną Yorku.

królowa Anglji zwiedza często szpitale i ochronki, rozdając biednym liczne dary. Wracając do pałacu i kładąc się spać zmęczona obowiązkami „reprezentacyjnemi", księżniczka przed zaśnięciem zwierza się swojej niani:

„Dlaczegóż na świecie jest tyle smutnych rzeczy?

Miłe to stworzenie bynajmniej nie przypomina dziedziczki wielkiego państwa, lecz jest pełna uroku, wesołości i figlów dziecięcych. Trzeba widzieć, jak księżniczka wobec tysięcznych widzów zamienia z jakimś wysoko postawionym dygnitarzem serdeczny uścisk dłoni, aby zdać sobie sprawę z jej osobistego uroku. Również gdy bawi się domkiem lalek, będącym darem księstwa Walji, zdobywa ona serca starszych.

Wśród licznych anegdot, jakie krążą na temat małej księżniczki, warto wspomnieć o jednej. Otóż pewnego razu księżniczka stała w oknie swego pokoju, wychodzącego na Hyde Park Corner. Londyński „bobby", siedząc na potężnym wierzchowcu regulował ręką ruch uliczny. Księżniczka poznawszy w nim swego „starego znajomego", poczęła dawać mu znaki ręką. Policjant chwilę się namyślał, czy podczas służby może odpowiedzieć na ten książęcy ukłon. Wkrótce doszedł do przekonania, że wypada jednak odkłonić się. Bacznie ruchy policjanta obserwujący szoferzy, ukłon jego wzięli za sygnał porządkowy i wkrótce doszło do skotłowania aut i autobusów na ulicy, które przestraszony „bobby" musiał na gwałt naprawiać. Na szczęście całą scenę obserwował ojciec księżniczki, który polecił zatelefonować do Scotland Yardu z wytłumaczeniem zajścia, chcąc uchronić policjanta od przykrych konsekwencyj służbowych.

Miss Aileen Alpen.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 19 **Niedziela 10 maja 1936** **Rok II**

ASY NUMERU 19-GO:



FOT. PRESSE PHOTO — BERLIN.

W całym świecie sportowym wre praca przygotowawcza do letniej Olimpjady, która odbędzie się w sierpniu w Berlinie. Na zdjęciu widzimy niemieckie sportsmenki, mieszkające stale w Brazylji, w czasie pauzy podczas treningów na jednym ze stadjonów sportowych w Rio de Janeiro. Jak widać praca sportowa idzie „całą parą"!

W GONDOLI ZEPPELINA NAD ATLANTYKIEM



Cień Zeppelina kładł się długą plamą na wodach zatoki brazylijskiej...

Właściwie dziś jeszcze nie wiem, jak się to stało, że pewnego popołudnia znalazłem się na pokładzie największego sterowca świata, który startował do lotu przez Atlantyk.

Mój przyjaciel, z którym byłem tego dnia na śniadaniu, dawno już planował tę podróż i wiele sobie po niej obiecywał, choćby ze względu na nowe możliwości wykorzystania swych niepospolitych umiejętności fotografowania rzeczy wyjątkowo ciekawych. Na kliszach i filmach, które przesuwały się za objektywem jego świetnego aparatu, zdołał on pochwycić już niejeden sensacyjny fragment współczesnego życia różnych narodów, a do każdego zdjęcia podchodził z pietyzmem człowieka, przepojonego nawskróś ideą swej wysokowartościowej sztuki i przygotowującego się do przeżywania coraz to innych wrażeń, które w sobie tylko właściwy sposób umiał następnie utrwalać i innym przekazywać.

To też jego plan „skoku przez Atlantyk" ani przez chwilę nie wzbudzał we mnie wątpliwości co do rodzaju i rozmiarów emocyj. Był w dzisiejszych czasach czemś tak naturalnem, jak jeszcze przed kilku laty przelot w aeroplanie z miasta do miasta. Zawsze jednak figurował w mej myśli pod rubryką rzeczy wyjątkowych, które swym odbiorcom zjednywały u ludzi przeciętnych miano ryzykantów, jeżeli już nie wprost bohaterów.

Tymczasem zaraz pierwsze kroki na pokładzie olbrzyma powietrznego upewniły mnie, że przyjaciel mój bynajmniej nie przesadził, zapewniając mnie jeszcze na ziemi o uczuciu zupełnego bezpieczeństwa, jakie powoli opanowuje pasażera, który zagospodarowuje się w luksusowych wnętrzach Zeppelina. Kto nie przekroczył stalowych progów statku i nie zajrzał bodaj na chwilę do środka, ten nie może zdać sobie sprawy z warunków, w jakich dziś odbywa się czterodniowa, powietrzna podróż przez Atlantyk.

Wszystko, co tylko może wymyśleć najbardziej wyrafinowany sybarytyzm — zostało tu wykorzystane w całej rozciągłości. Niewielka stosunkowo garstka podróżnych rozkoszuje się niezwykłą pomysłowością konstruktorów, która niemal wyprzedza najbardziej wyszukane życzenia pasażera. Urządzenia Zeppelina przypominają pod niejednym względem automat, ograniczający do minimum wysiłek naszych mięśni — coś, jak owa maszyna do karmienia robotników, z filmu Chaplina „Modern Times".

Na ekranie historja robota kończy się smutnie — wynalazca nie może dać sobie rady z strajkującą maszyną, która ulega zniszczeniu. Na Zeppelinie dzieje się zgoła inaczej. Tu decyduje wyłącznie i zawsze wola konstruktora, genjalnego dr. Eckenera, której ulega chętnie nietylko załoga, ale każdy, najmniejszy nawet tryb całej maszynerji potężnego sterowca.

Kondola statku przypomina wnętrza kilku, w szeregu ustawionych pullmanów, troskliwie odizolowanych od czterech kabin motorów, zawieszonych po dwie z każdej strony balonu. Hermetycznie zamykane drzwi i okna nie dopuszczają do uszu pasażerów huku potężnych maszyn, których ruchem kieruje kapitan statku z kabiny,



Plaża brazylijska należy do najpiękniejszych na świecie...



Na lewo: Na „Avenida Atlantica" w Rio de Janeiro...

ŁAD PRZED NAMI



umieszczonej na przodzie gondoli. Urządzenie jej przypomina analogiczne wnętrze łodzi podwodnej, tylko że zamiast okularów periskopu, widnieją tu imponujące precyzją lunety, badające w dzień i w nocy horyzont.

Nasz start odbył się tak gładko, że ani się nie spostrzegłem, jak ziemia-matka zapadła się w paręsetmetrową głębię pod nami. Domy, miasta, nad któremi szybowaliśmy w kierunku południowo-zachodnim, wyglądały jak dziecinne zabawki. Przypomniał mi się pierwszy mój start na samolocie... Wówczas niebo i ziemia wirowały przed memi oczami w jakimś szalonym tańcu — cały aparat drgał od tysięcznych uderzeń tłoków wyjącego motoru, a potężny prąd powietrza zapierał dech i wzmagał bicie serca...

Na pokładzie Zeppelina ta pierwsza moja napowietrzna podróż musiała wyglądać jak jakiś upiorny sen. Tak nic jej tu nie przypominało. I mimowoli nasuwało się porównanie z pasażerem, który podróżując przedtem na małym stateczku przez wzburzone wody, znalazł się nagle na transatlantyckim olbrzymie, imponującym swym olimpijskim spokojem, o którego burty odbijają się w bezsile najpotężniejsze fale oceanu.

Trasa przelotu Zeppelina z Niemiec do Brazylji, przez lata badana i ustalana, omija troskliwie strefy burz i orkanów, tak, że spotkanie na niej niebezpiecznych dla statku zaburzeń atmosferycznych należy do rzadkości. W takich warunkach podróż przez Atlantyk pozbawiona jest właściwie silniejszych emocyj.

Każdemu imponować musi czas przelotu. Cztery dni, które spotrzebowuje Zeppelin na przebycie olbrzymiej trasy, to wprawdzie jeszcze nie rekord Verne'a, ale już wyczyn, w obliczu którego blędną wszystkie dotychczasowe sukcesy lotniczego świata. Jeszcze nie tak dawno temu powiedzenie, że się będzie za cztery dni jadło obiad w Rio de Janeiro, wyglądać musiało conajmniej niepoważnie. — Dziś nie zdziwi nas twierdzenie, że następnym week-endem ludzkości będzie jazda na... księżyc.

Już po pół godzinie lotu przyjaciel mój zorjentował się, że robienie zdjęć z gondoli natrafi na poważne trudności

Na prawo: Imponująco wygląda kadłub statku, oglądany z gondoli motoru...



Poniżej: Jedna z charakterystycznych ulic Rio de Janeiro, wysadzana palmami królewskiemi.



WSZYSTKIE ZDJĘCIA FOT. DR. P. WOLFF

Jeśli nasz reportaż fotograficzny nie miał się doczekać kompletnego fiaska, trzeba było obmyśleć jakiś sposób albo na otworzenie bodaj jednego okna, co jednak sprzeciwiało się surowemu regulaminowi, jaki obowiązywał na pokładzie statku (wentylacja odbywa się mechanicznie), albo na przedostanie się z gondoli do jednej z kabin motorowych, ponieważ tam można było już z większą swobodą operować aparatem.

Pismo ministerstwa propagandy III. Rzeszy skłoniło kapitana do wydania odpowiednich zarządzeń, które pozwoliły nam na ulokowanie się na stalowych podstawach jednego z motorów. Przez szeroki otwór wału korbowego, na końcu którego szumiała śmiga w tysięcznych obrotach, spostrzegłem imponujący kadłub balonu, srebrzący się w promieniach zachodzącego słońca, a pod nim gładką taflę oceanu, widoczną poprzez rzadką tkaninę chmur, rozerwanych podmuchami północnego wiatru.

Był to ostatni z szeregu obrazów, które utrwaliły się w mej pamięci z pierwszego dnia podróży Zeppelinem przez Atlantyk. Następne dni minęły „jak z bicza trzasnął". Monotonję widoku morza z lotu ptaka przerywał od czasu do czasu przepływający pod nami parowiec, lub na horyzoncie przesuwający się ląd jakiejś wyspy. — Czwartego dnia padła wiadomość: „Ziemia przed nami!"... Poprzedzani przez mechanika przemknęliśmy wąskim korytarzykiem do kabiny motoru; na niespokojnych wodach zatoki brazylijskiej kładł się długi cień sterowca, który tymczasem obniżył znacznie lot, umożliwiając nam ciekawą obserwację lądu.

W dali mknęło coraz bardziej Pernambuco, poprzednio stacja końcowa podróży Zeppelina na amerykańskim kontynencie, a wyrazu zaczęła nabierać okolica Rio de Janeiro, z charakterystyczną Górą Cukrową i ciągnącą się kilometrami plażą, do której wprost przytyka tajemnicza dżungla

(Dokończenie na str. 31-ej).

KĄCIK FILATELISTYCZNY

FAŁSZERSTWA.

Nawet i polskie lotnicze znaczki doczekały się — spowodu wielkiego na nie popytu — sfałszowania i ciekawe że stało się to w Paryżu. Nie są to falsyfikaty na szkodę poczty, gdyż M. P. i T. wycofało całą serję z obiegu — ale na szkodę nieuważnych zbieraczy, którzy nie zwracają uwagi na szczegóły zaznaczane przez katalogi. Rozpoznanie fałszerstwa jest łatwem nie ze względu na mniej dokładny druk, ale na to, że ząbkowanie jest typu linjowego 11.5, podczas gdy oryginały są ząbkowane „skrzynkowo" 12.5.

Ciekawem jest czy prędko wykryją władze policyjne „fabrykanta" i jaki będzie sądowy epilog tej afery.

NOWOŚCI.

Zalew nowości z państw południowo-europejskich cokolwiek traci na rozmiarach, ponieważ już żaden album nie może objąć ilościowo tylu tysięcy egzemplarzy i filateliści nie tak łatwo wydają pieniądze na serje, które później można nabyć znacznie poniżej ceny „okienkowej" (Hiszpanja z „Maja") — ale i tak Włochy uważały, że bowiec 17 „Targów Medjolańskich" trzeba wydrukować całą serję. Wykonanie znaczków — heliograwura.

We Francji już nietylko „Caisse d'Amortissement" czerpie dochody ze znaczków dobroczynnych, ale i „l'art et la pensée" — czytaj — bezrobotni inteligenci — mają być wspomagani przez zbieraczy. W ostatnim „kąciku" zaznaczyłem, że sytuacja filatelistów wobec wydawania znaczków dobroczynnych na różne cele staje się wprost nie do zniesienia, zwłaszcza że dopłaty, tak jak do omawianego znaczka francuskiego (72 grosze), są grubo za wysokie. Mało kto może sobie pozwolić na wydanie takiej kwoty pomnożonej przez ilość znaczków dobroczynnych drukowanych rocznie w Europie, a dla studentów pozostają podobne znaczki omal niedostępne i tylko ich dezorjentują w programie zbierania. Przypuszczam że Czytelnicy zechcą nam nadesłać swe uwagi na ten temat i przeprowadzimy chętnie dyskusję na łamach „Asa". Wykonanie znaczka francuskiego — wklęsłodruk według sztychu Ouvré, kolor ceglasty.

Sto lat temu stan Texas ogłosił swą niepodległość i odłączył się od Meksyku. Przyłączenie tego kraju do U. S. A. nastąpiło kilkanaście lat później, ale zasadniczo w roku bieżącym obchodzi się jubileusz. Najważniejsze miasta dwa razy większego od Polski Texasu noszą imiona ich założycieli — stolica Austin i Houston.

Wizerunki tych pionierów cywilizacji na „dalekim Zachodzie" widzimy na reprodukowanym egzemplarzu. Kolor — fioletowy (Z firmy H. Kurek — Kraków).



Serja znaczków niemieckich, drukowanych w różnych kolorach, a przedstawiających historyczne zamki Rzeszy, jest arcydziełem techniki drukarskiej.



1

2

3

Na lewo: 1) Znaczek U. S. A. wydany na pamiątkę przyłączenia stanu Texas, 2) Znaczek francuski na korzyść bezrobotnych inteligentów, 3) Znaczek włoski upamiętniający XVII Targi Medjolańskie.

Odpowiedzi Redakcji.

WP. „ZYGA" — TUREK. Reflektujemy jedynie na 100 proc. nowości — nadesłał na Pan tymczasem tylko reprodukcje niemieckich znaczków dobroczynnych, wylanych w listopadzie ub. r. — Zasadniczo żadnych firm nie polecamy — istnieje dużo sklepów dostarczających nowości w abonamencie za nieznaczną dopłatą do ceny nominalnej — przy znaczkach czystych. Adresy znajdzie Pan w piśmie „Postwertzeichen Markt — Pössneck i T. Niemcy. Wobec ograniczeń dewizowych jest obecnie możliwa tylko wymiana z zagranicą.

Adresy zbieraczy pragnących wymieniać będziemy zamieszczali od następnego numeru.

W. H.

KĄCIK PRAKTYCZNY PANÓW

Jak pielęgnować obuwie?

„Pokaż mi buciki — a powiem ci kim jesteś". Ta nieco dowolna parafraza znanego powiedzenia, którą usłyszeliśmy z ust gentlemana bardzo dobrze ubranego, ma w sobie trochę więcej od zdziebełka prawdy.

I rzecz ciekawa: wielu mężczyzn, dbających o swój strój, dobierających niezwykle starannie krawat i koszulę, traktuje z wyniosłą obojętnością sprawę obuwia, a już „pielęgnacja obuwia" jest pojęciem zgoła dla nich nieznanem. Byleby nie było brudne i jako tako wyczyszczone.

Tymczasem konserwacja bucików i należyte ich czyszczenie — (nie są to wprawdzie żadne „filozofje") — wymagają troskliwości i staranności.

— Ja z zasady czyszczę sam swoje buciki, — powiedział wspomniany gentleman, bo nie znalazłem jeszcze służącego czy służącej, którzy zadają sobie należytego trudu.

Może taka wrażliwość jest trochę przeczuloną, ale lepiej przykładać do tego więcej wagi niż zamało.

Oto poniżej kilka „podstawowych zasad":

Przedewszystkiem każdy bucik, by zachował swój fason potrzebuje „odpoczynku". Radzimy zmieniać obuwie i nie nosić tygodniami tej samej pary. Bucik zaś chce „odpoczywać" na prawidle. Inaczej się zdeformuje a nawet najlepsza skóra popęka. Nigdy nie należy bucika niewyczyszczonego wstawiać do szafy. Bo brud wsiąka w skórę i jest dla niej szkodliwy.

Do czyszczenia używa się szczotki jedynie przy odkurzaniu względnie „odbłacaniu" bucika. Pastę — radzimy tu nie oszczędzać, lepiej wydać kilka groszy więcej na dobrą pastę — należy szmateczką — po uprzedniem dokładnem odkurzeniu bucika — cienką warstwą nakładać na skórę.

Przy bronzowych bucikach plamki względnie brud, który jeszcze pozostał, zbierać pastą. Do takiej „akcji oczyszczającej" nadaje się biała pasta, na którą dopiero nakłada się dla koloru warstwę pasty bronzowej. Po napastowaniu niech bucik chwilkę „odstoi się", poczem rozciera się szmateczką pastę do połysku.

W końcu jeszcze jedno przykazanie: unikajmy tak popularnego „czyszczenia" męskich bucików benzyną. Skórze taki proceder bynajmniej nie służy.

SZTUKA
na Kaszubach



Kaszubi odznaczają się jędrną urodą, właściwą ludziom mającym do czynienia z potężnym żywiołem — morzem.

Na prawo: Ceramika kaszubska wyróżnia się oryginalną ornamentacją (stylizowane fale na talerzu), jakoteż wyjątkowo piękną polewą.



Właściwości duchowe człowieka, tak różnorodne a barwne, tak subtelne a zmienne ukształtować się musiały pod wpływem tego przemożnego czynnika, jakim jest morze. Jeżeli bacznie przyjrzymy się mieszkańcom naszego wybrzeża i wogóle Kaszub, zauważymy, że n. p. rybacy kaszubscy, z morzem na stałe związani, pod względem duchowym różnią się od typowego „lądowca". Wyróżniają się spokojną, zrównoważoną, skoncentrowaną, ba, nawet zamkniętą w sobie powierzchownością, opanowanemi, flegmatycznemi, do pewnego stopnia ostrożnemi i powolnemi ruchami, pochyloną nieco postawą. Nie uganiają się nigdy za barwnością stroju, a śpiew ich nigdy nie jest skoczny. W życiu umiarkowani, w pracy powolni, w zamiarach rozważni. Jest w nich coś z wody, z której czy to nad brzegami licznych jezior, czy też morza żyją, wśród której przebywają i z którą często walczą.

Od wieków nad wodami osiadli, wypowiedzieli przedewszystkiem swój stosunek do sztuki, przemysłu ludowego, poezji ludowej, wprawdzie nie tak różnorodnie, jak np. górale, wytworom jednak swej pracy, mimo zetknięcia się z kulturą całego świata (niejeden z Kaszubów długie lata spędzał na morzach całego globu), nadali swoistą cechę, odrębność, subtelny wdzięk, które specjalnie pięknie odwierciedla się w prześlicznych haftach, wzorach i motywach sztuki ludowej.

Swojski charakter zachował się jeszcze w starych chatach kaszubskich, wyrobach garncarzy z pod Chmielna, Wejherowa i Kartuz, oraz w zdobnictwie. Rzemiosłem, które naprawdę się na Kaszubach w ostatnich latach odrodziło, jest garncarstwo. Wykazuje ono pełną żywotność, w parze z niem idzie hafciarstwo, które jakby pod ożywczem tchnieniem, wykazuje w odrodzonej Polsce olbrzymi postęp. Hafty kaszubskie są poszukiwane i stały się ozdobą luksusowych nawet mieszkań.

Ośrodkiem przemysłu hafciarskiego są przeważnie miasta Kaszub, nie wyłączając i szereg większych wsi. Dawne garnki kaszubskie zdobne w kwiaty, wydźwignęły się obecnie w zgrabne wazony; dwojaki zmniejszyły się na gustowne cacka; talerze, spodki nabrały charakteru dekoracyjnego.

Stroju swojskiego naogół Kaszubi już nie noszą, lecz i w tym kierunku podjęta już została owocna praca, która przynosi obfity plon. Kartuzy, Puck, Wejherowo, oto etapy propagandy stroju ludowego. Większość młodzieży we wsiach okolicznych już wydobywa dawne złotem haftowane czepki i „dębowe" jedwabne chustki, spoczywające na dnie skrzyń i w dniach wielkich świąt przywdziewa je, ku ra-

Budzi się i do życia sztuka słowa, poezja ludowa. W pracy tej przodowało pismo regjonalne „Gryf". Powołany został z dużym wysiłkiem w Wejherowie Kaszubski Teatr Objazdowy im. Hieronima Jarosz-Derdowskiego, który dociera do wszystkich zakątków wybrzeża. Młodzież gimnazjalna zaś w Wejherowie przoduje w wystawianiu sztuk w narzeczu kaszubskiem. Występy jej pod kierownictwem p. prof. Kręckiej znane są w całej Polsce.



Na lewo: Hafty kaszubskie i ceramika. Ciekawy jest motyw łuski rybiej na wazonach.

Nad budzeniem idei regjonalistycznej, sztuki ludowej duże zasługi kładzie też szkolnictwo powszechne, dzięki inicjatywie insp. szkol. Karola Kopcia z Wejherowa, wydobywa się na jaw z ukrycia te wszystkie przejawy przemysłu i sztuki ludowej, których walory zasługują na uwagę. Rozwija się je i wynosi na światło dzienne, by stanowiły podstawę dalszego rozwoju życia kulturalnego Kaszub!

Alfred Świerkosz.

MATKA

Irena Wielgusówna.

NOWELA.

Pociąg błysnął żółtemi ślepiami — wygiął się, jak potworny, centkowany wąż i znikł za zakrętem.

Pozostałam na małej stacyjce, którą znam od dziecka. Biały, niski dom — przy nim budka z desek dla strażnika.

Jest już prawie ciemno. — Po prawej ręce — poniżej toru — szarem, szeroko rozsnutem pasmem płynie rzeka. Słyszę, jak szumi.

Na prawo droga do wsi — wąska, wyboista.

Rozmiękła, czarna ziemia pachnie. Z szerokich, mocnych płuc wydycha potężną woń wiosny.

Bezimienna dłoń rozniecila ogień na skraju nieba. Wybuchnął nagle nad lasem i rozsypał się tysiącem gwiezdnych skier po czarnej głębi. Wiatr zaszumiał mi w uszach rytmem dawnych — dawno zapomnianych melodyj.

Idę czarną, błotnistą drogą — mijam małe, słomą kryte domy, które nic się nie zmieniły przez te lata. Bielą się przy drodze, wrośnięte w ziemię i zrośnięte z czarnemi szkieletami starych drzew.

Teraz trzeba iść — na lewo i trochę wgórę. Tutaj zaczyna się żywopłot gęsty i zwarty, pomimo, że niewiele jeszcze na nim liści. Powyżej zaś stoi dom duży, całkiem kwadratowy. Jedno z okien jest jasne. Wchodzę na podwórze. Koło studni, z długim, w górę sterczącym żórawiem jest jak zwykle błoto. Trzeba obejść naokoło — w pobliżu psiej budy. Stary Kruk wysunął czarny, sękaty łeb i zawarczał głucho. Lecz poznał mnie widocznie, gdyż ziewnął tylko przeciągle, błysnął białemi kłami, zwinął się i zamilkł.

Drzwi, jak zwykle, nie są zamknięte na klucz. Otwieram jedne — drugie i trzecie — i wchodzę poprostu, bez pukania.

Jest oczywiście sama. Siedzi przy stole i szyje. Na oczach ma okulary w ciemnej, rogowej oprawie. Przez chwilę mruga powiekami nerwowo — jakby nieprzytomnie. Nie może pojąć, co się stało. — Nie pisałam, że przyjadę. Nigdy nie przyjeżdżałam o tej porze .

— Ach — nic! Przyjechałam, aby trochę odpocząć. Nie czuję się bardzo zdrowa. To wszystko. I teraz najchętniej zaraz się położę.

Pokój jest duży, zimny i zaniedbany. — Okrawki na podłodze — obrus wypełzły i poplamiony — szary kurz na półkach.

Oczy jej błyszczą od łez. Cieszy się, że przyjechałam. Chce mnie ugościć jaknajlepiej — i zarazem chciałaby wszystkiego dowiedzieć się odrazu. Nie wie, od czego zacząć To spadło na nią tak nagle — nie była przygotowana.

Gorączkowo pomaga mi zdjąć płaszcz. Suknię ma wymiętą i może trochę brudną. — Włosy cienkiemi kosmykami opadają jej na kark. Są szare, jakby zakurzone. Są siwe. Tak, spewnością są siwe.

Jest mi źle i obco. Nie mogę poznać jej twarzy, która tak dziwnie wygląda przy świetle naftowej lampy.

Rozglądam się po pokoju, który znam dobrze. Niby nic się w nim nie zmieniło, a przecież jest inny. Większy i bardziej pusty. Jest w nim zimno i smutno. W tej chwili żałuję, że przyjechałam. Czuję się rozczarowana głęboko i boleśnie, choć wiem, że to niesłuszne. Właściwie moja jest wina, że wyobrażałam sobie inaczej. — Przecież jest sama — zupełnie sama. Dom jest stanowczo dla niej za duży. Trudno go wypełnić — utrzymać w nim ciepło. Tak — dawniej było inaczej. Tylko, że trudno pojąć to odrazu. Ogarnia mnie znużenie — mówię, że chcę się położyć. Rozumie to dobrze i zaraz przygotowuje mi łóżko w drugim pokoju. Proszę, aby dziś już nic nie mówiła do mnie — chcę spać. To także rozumie doskonale. Zabiera z sobą lampę i cicho zamyka drzwi. W pokoju ciemno. Futryna okna musi być nieszczelna, gdyż dygoce jednostajnie, drażniąco. Szarpie nią wiatr, który zerwał się nagle i zawalił niebo kłębami chmur. — A Kruk wyje łzawo i chrapliwie, choć na niebie już niema księżyca.

Przez szczelinę w drzwiach przeciska się żółta kreska światła. Opieram na niej oczy i myślę, że tam w drugim pokoju, przy świetle naftowej lampy siedzi ona i szyje.

Ilekroć będąc zdala od domu myślałam o matce — widziałam ją tak właśnie. Lampa z blado żółtą umbrą, na której czerwieniły się duże, sztywne tulipany. I ona z igłą w ręce. Tak właśnie było dobrze i miło. Gdy skończył się jasny, gwarny dzień — można było zasypiać spokojnie i cicho, nie wiedząc nic o tem, że zła i czarna jest noc. Pod znużonemi od snu ciężkiemi powiekami pozostawał obraz schylonej sylwetki, oblanej żółtawem światłem, z którego sączyło się błogie tchnienie ciepła i bezpieczeństwa.

Przymykam oczy, lecz teraz już wiem, że nie wróci ten czar, którego przyjechałam szukać. Obecność matki, czuwającej w mgle żółtego światła, straciła swą dawną, magiczną siłę. Nie daje już tego przedziwnego uczucia spokoju i przynależności, które dawniej po brzegi wypełniało chwilę zasypiania. Prze-

ciwnie — jest w niej smutek cichy, lecz tak beznadziejny, jak spojrzenie starych, od łez wypełzłych jej oczu.

Pozostała sama w pustym domu. Co wieczór zajmuje swe zwykłe miejsce przy stole i szyje, bo może się zdarzyć, że któreś z dzieci przyjedzie lub zażąda przesyłki.

Gdy rozjechały się po świecie, on także odszedł od niej. Za młody czuł się widocznie, aby pozostać ze starą, zniszczoną matką w opustoszałym domu, w którym nie było już nic, prócz przeszłości.

Chciał życie zacząć odnowa.

Wrócił do niej później — wtedy, gdy czuł, że życie swoje liczyć musi na dni. I znowu pozostała sama. Lecz to było później.

Teraz myślę, że dotąd wiedzieliśmy o matce tylko tyle, że była nam potrzebna. I że nam było z nią dobrze. Co czuła i myślała ona... — nie było czasu zastanawiać się nad tem. Życie było tak piękne i ciekawe — dawało tyle nowych, gorących wrażeń.

W lecie zjeżdżaliśmy się na wakacje do dużego domu pełnego słońca. Byliśmy ciekawi siebie nawzajem — każde z nas przeżyło coś nowego i wiele o sobie opowiedzieć mogło.

W ciche, księżycowe wieczory siadaliśmy na schodach przed domem.

Nad nami skrzyło się niebo gromadą roześmianych oczu. Padały słowa gorące, nabrzmiałe ważnością, zaciekawieniem, tęsknotą. O tem, co było i co będzie. Tylko nikt nie wspomniał o matce. I ona też nic nie mówiła o sobie, choć i ona miała za sobą długi rok życia, na które nie patrzyliśmy i w którem nie braliśmy udziału.

Wakacje mijały szybko. — Ja zwykle wyjeżdżałam pierwsza, zabierając ze sobą wspomnienie słonecznych, dużych pokoi, pełnych stukotu młodych, wesołych głosów.

Trzeba było dopiero przeżyć wiele złych i ciężkich dni, aby wreszcie z duszą bezsilną i ciężarem znużonych ramion znaleźć się niespodzianie pod dachem rodzinnego domu z nieokreśloną, w słowa nie ujętą nadzieją. I zobaczyć ją tak, jak teraz. Oprzeć oczy na sztywnej kresce żółtego światła, nieruchomo leżącej na podłodze i zastanowić się poraz pierwszy: co ona myśli i czem żyje.

—oOo—

W rogu pokoju stała duża, oszklona szafa. A obok niej mniejsza — zwykłe proste półki. Pełno tam było książek starych, poszarpanych, zapisanych zeszytów i kartek luźnych, wymiętych — na nic niepotrzebnych nikomu. Stłoczone ot wszystko było bezładnie i dźwigało na sobie grubą warstwę kurzu. Można było usiąść, zanurzyć ręce w zakurzonych szpargałach i tak rok po roku, miesiąc po miesiącu — dzień po dniu niemal — przypominać sobie ubiegłe lata. Bo w każdej książce, uzupełnionej zapiskami, w każdym zeszycie, w którym czerwony atrament niemym wyrzutem uświadamiał popełnione błędy — żyło wspomnienie chwil, które umarły.

Przez wysokie okno weszło poranne słońce i usiadło na szybie szafy. Zajrzało w oczy steranemu Ovidiusowi, który po bratersku, nie zwracając uwagi na różnicę wieków, stanął w jednym rzędzie z podartym Panem Tadeuszem i pożółkłą Dogmatyką Szczegółową. Zamigotało w złoconych literach luksusowej Trylogji, która dziwnie czuć się musiała w tak zaniedbanem towarzystwie.

Szeleszczą przewracane kartki — unosi się z nich pył, który rozjaśnia się w słońcu i wygląda jak obłok drobniutkich, rozpylonych skier.

Weszła z uśmiechem i oznajmiła, że kawa na stole. — Inna była niż wczoraj — jaśniejsza i pogodna, jakby dużo młodsza.

— Czemu nie wyrzucisz tych szpargałów — zapytałam.

— Leżą tu niepotrzebnie i kurz się na nich gromadzi — połowę tego spalić można.

Zaprzeczyła poruszeniem głowy.

— Nie trzeba — powiedziała — przydać isę kiedyś mogą jeszcze — a także dobrze jest czasem poszperać w nich i przypomnieć sobie niejedno. Tak, jak ty to robisz w tej chwili. Mała kartka papieru znaczy czasem bardzo wiele — potrafi wypełnić kilka długich dni.

Poczułam nagłe, ostre ukłucie. Trochę ból — trochę zazdrość, chociaż nie wiedziałam dobrze, o czem ona mówi. Przypomniał mi się długi szereg mych własnych dni, w których nie było już bólu. Nic — pustka — znużenie ciężkie — jałowe. Dni, których niczem nie można wypełnić. A teraz ona z uśmiechem wyrozumiałości i rozczulenia mówi o czemś, co czuje, co czuć potrafi, co jest jej własne. — Pytać się nie można — niewiadomo nawet jakiemi słowami — trzebaby mówić dużo — o wszystkiem...

Dzień zaczął się pomyślniej niż przewidywałam. Nie pytała mnie o nic. Mówiła sama. O sąsiadach, u których od czasu do czasu coś się przecież działo — o książce, którą niedawno miała w rękach, o sensacjach, wyczytanych w gazetach — nawet o polityce.

Popołudniu wzięła mnie ze sobą na spacer do lasu.

Dzień był jasny, ciepły i bardzo słoneczny.

Szło się wąską, polną drogą — trochę pod górę. Po obu stronach drogi łąki już zielone, pozłocone jaskrami. Powietrze przedziwnie pachnące — przetykane odwieczną muzyką poszeptów, ćwierkań i szmerów.

Tuż pod lasem stała mała, chłopska chata. Strzecha dziurawa i ściany odrapane. Opowiedziała mi matka, że dwa miesiące temu umarła chłopu żona, która długo chorowała na płuca. Przeniósł się więc do swojej wsi, dzieci zaś oddał na wychowanie do siostry. Dlatego w chałupie nikt nie mieszka. Podobno szuka na nią kupca.

Zajrzałem przez brudne, papierem łatane okienko do izby. Nie była całkiem pusta. Pod ścianą naprzeciw drzwi stało łóżko. Zwykłe, nędzne, chłopskie łóżko — z garścią starej — wygniecionej słomy. Leżała na niem poduszka, brudna, z jednego boku rozdarta. Pierze sypało się z niej na podłogę. Na środku zabłoconej izby but nieużyteczny, z wysoko zadartym nosem, kilka strzępów szmat i niebieski blaszany garnuszek, zapewne dziurawy.

Wszystko to było bardzo smutne — i strasznie biedne. Zwykła ludzka dola. Długie pasmo przeróżnych dni, po których zginął ślad.

Nakoniec łóżko z twardą, od bezwładnego ciała ugniecioną słomą.

I za oknem wiosna.

Bywają chwile, w których trudno jest zrozumieć rzeczy codzienne, zupełnie proste.

Matka nie myślała o tem. Mówiła z wielkiem ożywieniem, rozglądając się po polach. Z rumieńcem na twarzy i słońcem w szarych oczach wyglądała zupełnie młodo.

—oOo—

Okazało się, że przecież jest lepiej. Następne dni były jasne i ciche. Można było godzinami leżeć przy otwartem oknie i nie myśląc o niczem patrzeć na zielone pióropusze młodych akacyj, rosnących przed domem — podczas gdy ona ruchliwa i prawie wesoła krzątała się koło gospodarstwa.

Popołudniu szłyśmy na przechadzkę. Daleko w pola, miedzami, wśród gęstych, soczystych zielenią wyrastających zbóż. Nie mówiła już wiele. Nie wiedziałam, co myślała, lecz wydawało mi się, że jest zadowolona. A ja czułam wyraźnie, że jest lepiej.

Dlatego postanowiłam przez całe lato pozostać z matką.

Stało się jednak inaczej. Nadeszły dni zimne, deszczowe. Wiatr wył w kominach, szarpał futrynami okien. Długie, bezbarwne godziny stawały się niebezpieczne. Matka nie miała już o czem mówić. Wydawało mi się, że zaczyna spoglądać na mnie wyczekująco — podejrzliwie. A może z niepokojem. Nie pytała jednak o nic, tylko twarz jej zaczęła przygasać. Widziałam to bardzo dokładnie, lecz nie myślałam o tem, aby jej pomóc. Znużenie opanowało mnie na nowo.

Jednego dnia — poraz pierwszy od przyjazdu — usiadłam do pisania listu. Było to rano. Zimny deszcz siekł w szyby i wygrywał na nich dziką, monotonną melodję.

Weszła cicho i stanęła w progu.

— Chciałaś czego? — zapytałam, nie patrząc w jej stronę.

Przez długą chwilę nie odpowiadała.

— Właściwie nic... — zaczęła wreszcie powoli, jakby niepewnie — tylko widzisz... dopiero jest rano — tak daleko jeszcze do wieczora... i taki długi jest dzień...

Podniosłam oczy z nad listu. Miała na sobie tę samą suknię, w której ją zastałam w dzień przyjazdu. Zmiętą, wyblakłą i może trochę brudną. Kosmyki siwych włosów na skroniach. Twarz smutna, mizerna i tak bardzo — niemal dziecinnie bezradna.

Przyszła się poskarżyć — szukała pomocy.

Ja zaś nie powiedziałam ani słowa, choć wiedziałam, że to moja wina. Tylko od tego dnia było mi jeszcze gorzej.

Gdyż zrozumiałam, czem żyła matka sama wśród pożółkłych, zakurzonych szpargałów — których nie pozwoliła wyrzucić.

Żyła z nami.

»HARNASIE« SZYMANOWSKIEGO W OPERZE PARYSKIEJ.

Doczekaliśmy się nareszcie w Operze paryskiej tematów polskich. Drzwi tego przybytku sztuki, noszącego tytuł „Akademji narodowej muzyki i tańca" otworzyło głośne dziś na całym świecie nazwisko Karola Szymanowskiego. I oto w poniedziałek 27 ub. m. „Harnasie" ukazały się w całej wspaniałości barw, kostjumów i dekoracyj polskich na pierwszej scenie Francji.

Mieliśmy możność uczestniczenia w pracach przygotowawczych, podjętych na szeroką skalę celem należytego uświetnienia owego „polskiego wieczoru" w Operze. Wysłuchaliśmy doskonałego odczytu znanego muzykologa francuskiego p. Vuillemoza o Karolu Szymanowskim, w lokalu paryskiej filji „Orbisu", udekorowanym mnóst-



Słynny kompozytor, Karol Szymanowski.

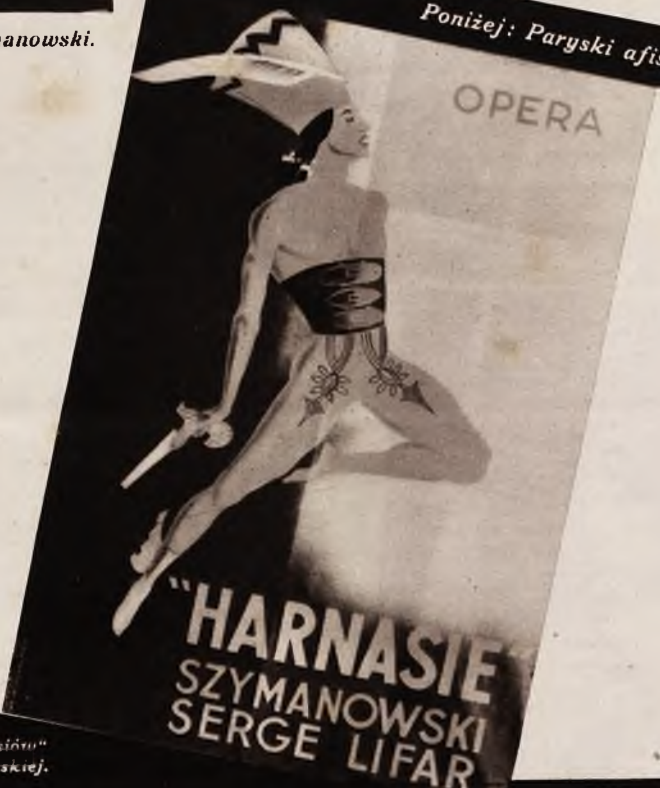
wem drzeworytów, fotografij i szkiców, odnoszących się do legendy Janosikowej, widzieliśmy nagrodzone na konkursie projekty dekoracji pendzla p. Lorentowicz-Karwowskiej, byliśmy wreszcie w Operze na próbie generalnej, co dało nam możność nietylko oglądania dzieła Szymanowskiego i zapoznania się z jego bogactwem muzycznem, ale i zdania sobie sprawy z szeregu olbrzymich trudności, związanych z wystawieniem baletu. Inicjatywę podjęli trzej ludzie o znanych nazwiskach — nasz kompozytor, dyrektor Opery p. Rouché i pierwszy baletmistrz paryski p. Sergjusz Lifar. Ten ostatni był gościem Szymanowskiego w Zakopanem i napatrzył się wprawnem okiem badacza i wykonawcy na różne przejawy naszego bogatego folkloru. Dyrektor Rouché zgodził się nietylko na wystawienie baletu, ale i na ogłoszenie konkursu na kostjumy i dekoracje w Polsce. Przekonaliśmy się, że laureatka owego konkursu p. Lorentowicz-Karwowska, córka znanego krytyka teatralnego, uczenica Drabika, Szyllera i rektora Pruszkowskiego, nietylko nie zawiodła naszych oczekiwań, ale przewyższyła je znakomitem ujęciem tematu. Dekoracja jest doskonała — zarówno pejzaż górski jak i wnętrze. Kolorystyka jest bogata, żywa i harmonijna. Perspektywa świetna. Dokumentacja bardzo sumienna i świadcząca o głębokiej znajomości rzeczy i odczuwaniu ducha polskiego, oraz o zrozumieniu dążności kompozytora. Kostjumy naogół doskonałe, zwłaszcza zbójnickie, umiejętna stylizacja nie odjęła im bowiem ani krzty archaiczności. Dekoracyjna strona zdumiewa w gmachu paryskiej opery, gdyż nigdzie może niema tak szalonej rutyny i takiego skostnienia form, jak właśnie w tej świątyni francuskiej muzyki. Jednakowoż wysokość dzieła i jego pochodnych przezwyciężyła swą wartością obyczaje szanownej instytucji, dając tem dowód, że *prawdziwe walory* idą jednak przebojem i nie rozbijają się o mury starego obyczaju. Tem pochlebniejsze jest to dla nas, Polaków, to, że właśnie nasza sztuka, nasze dekoracje i nasze kostjumy sprawiły ów nieoczekiwany wyłom, znajdujący już zresztą przed premjerą niezwykle życzliwe przyjęcie ze strony personelu teatru, od dyrektorów i artystów aż do chórzystów i mechaników włącznie, którzy przypatrują się wszystkiemu z podziwem i nie szczędzą wyrazów zadowolenia. Cieszy się z tego zwłaszcza p. Lorentowicz-Karwowska, sprawiono jej bowiem zgoła nieoczekiwanie, serdeczne przyjęcie i odniesiono się do niej na każdym kroku z uprzedzającą uprzejmością i chęcią liczenia się z jej wskazówkami. Dla Karola Szymanowskiego ta plastyczna strona przedstawienia jest tylko częścią powodów zadowolenia — gdyż konstatuje on powodzenie na całej linji i ogromny pietyzm w odniesieniu do każdego szczegółu jego dzieła.

Balet składa się z trzech aktów i rodzaju intermedjum. Ideą przewodnią utworu jest, wedle słów Szymanow-



P. Lenartowicz-Karłowska, twórczyni dekoracji do „Harnasiów".

Poniżej: Paryski afisz baletu polskiego.



Poniżej: Dekoracja I aktu „Harnasiów" kompozycji p. Lorentowicz-Karłowskiej.



skiego, subtelizacja elementów folkloru, zarówno w muzyce, jak i w kostjumach i w tańcu. Dlatego też, jak podkreśla twórca „Harnasiów“, zniknąć tu winna była brutalna strona legendy Janosikowej. Całość nie jest ani odtwarzaniem materjału historycznego, ani kopjowaniem jakichkolwiek wzorów, a nawskróś nowoczesną stylizacją tematu, aż do zastąpienia cechą demoniczności motywu zbójnickiej siły. Głównym elementem kompozycji jest polskość przepuszczona przez filtr współczesnych wymagań kultury polskiej. Ta polskość brzmi w każdem zdaniu muzycznem, w każdym motywie melodji, w każdej harmonizacji dźwięku. Ta sama polskość zaznacza się w każdym szczególe dekoracji, w każdym kostjumie, w każdej figurze tanecznej. W dodatku wszędzie jest umiar i poziom, wysokość którego szczególniej leży Szymanowskiemu na sercu. Nie jest to bowiem jedynie wystawienie utworu polskiego w Paryżu — chodzi tu o rzecz bez porównania ważniejszą i głębszą — a mianowicie o wejście szeroko otwartemi, wielkiemi drzwiami do Akademji Narodowej Francuskiej Muzyki i Tańca — a drzwi te otwierają się po raz pierwszy przed Sztuką Polską.

Karol Szymanowski w całej pełni rozumie tę odpowiedzialność, która kładzie się tem samem na jego barkach. Pod względem kompozytorskim rzecz cała nie podlegała najmniejszej wątpliwości — chodziło jedynie o godne podanie dzieła polskiego Paryżowi, i tu właśnie był moment niebezpieczny. Przecież Wagner czy Ryszard Strauss niekoniecznie zyskiwali, gdy wykonawcami byli Francuzi, uprawiający rodzaj sztuki swoisty i dość daleki od pojęć innych narodów. Otóż, jak już podkreśliliśmy wyżej, wszystkie te obawy okazały się płonne, gdyż tego rodzaju porozumienia, życzliwości i chęci dogodzenia kompozytorowi polskiemu i malarce polskiej trudno się było spodziewać.

Właściwie, od czasów Szopena, nie było równie ważkiego momentu wejścia sztuki polskiej na forum paryskie. Wystawienie „Harnasiów“ jest z tego powodu datę epokową dla sztuki naszej wogóle. Prasa francuska już szeroko rozpisała się o „Harnasiach“. Z naszej strony my winniśmy w prasie polskiej podkreślić pierwszorzędne znaczenie wystawienia tego dzieła właśnie w Paryżu i to na takiej scenie.





Powyżej: Dwie postacie z baletu wystawionego ostatnio w Paryżu.

Poniżej: Sergjusz Lifar, w „Harnasiach“ Karola Szymanowskiego.



Było jeszcze jedno, duże niebezpieczeństwo, niezależnie nawet od dobrej woli wykonawców, a mianowicie tradycja rosyjskiego baletu i rosyjskiej muzyki. Paryż jest literalnie nasączony rosyjskością. Genjalny tancmistrz Opery Sergjusz Lifar uchodzi za Rosjanina, chociaż właściwie jest z pochodzenia Tatarem krymskim. Bądź co bądź szkoła jego jest wybitnie rosyjska, metody również, a przyzwyczajenia całego zespołu też idą w tym kierunku. Mogłoby się to zdawać trudnością nie do przezwyciężenia. A jednak uczynione zostało wszystko, by ów wpływ szkoły rosyjskiej ograniczyć do minimum — a najczujniejszym stróżem tej ważnej strony przedstawienia był właśnie sam Sergjusz Lifar. Włożył on w swe zabiegi reżyserskie i taneczne mnóstwo pracy i studjów. Był w Zakopanem, oglądał nasze zbiory, widział autentyczne wesele góralskie, czytał wszystko, co mógł i z nadzwyczajną pieczołowitością i samokrytycyzmem odniósł się do tego właśnie momentu. Karol Szymanowski niema wprost słów, by wyrazić uznanie swoje dla głębokiej rzetelności artystycznej i ludzkiej Lifara. Nic dziwnego, że Lipkowie i nasi Tatarzy polscy cieszyli się zawsze u nas taką sympatją. Widzimy oto w Paryżu, na obczyźnie, potomka jednego z tych, którzy pod Tuhaj Bejem szli na Dzikie Pola — i spotykamy w nim artystę, który chce jak najlepiej zrozumieć polskość, osłonić ją od wiszących w atmosferze Paryża wpływów rosyjskiej sztuki — i z jakąś delikatnością niezwykłą pojmuje, że taki cień ex-zaborczego państwa, które nam zabrało tyle sił i kładło się nienawistnym bizantynizmem na całem naszem życiu — byłby dla nas czemś niezmiernie przykrem.

Jest obowiązkiem naszym podkreślić tę lojalność Lifara i czynimy to z największą przyjemnością, gdyż jest ona wogóle zjawiskiem rzadkiem — a specjalnie w dziedzinie sztuki czemś trudnem do zrealizowania, gdyż wymagającem wysokich zalet umysłu i serca.

Edward Ligocki.

WALKA O PANOWANIE NAD DŻUNGLĄ →

Fot. Fox-Film



Miljardy • lat • słońc i kilometrów...

Podniósł wzrok do góry. Gęsto usiane gwiazdami niebo, — w dali welon drogi mlecznej — bezkres wszechświata przemówił do niego. Tupnął ze złością nogą: — Ja cierpię, lecz czemże to jest wobec niewzruszonych, zimnych gwiazd! — Jakże często czyta się podobne zdanie! Poetyczne, ale... co słowo to omyłka! Niebo bardzo rzadko jest zasiane gwiazdami, droga mleczna i gwiazdy, które widzimy, to jedna całość, wszechświat nie jest bez kresu, a tupnięcie nogi zakłóca bieg gwiazd. Dlaczego? zaraz zobaczymy.

Odpowiada na te pytania najbardziej poetyczna... i najbardziej ścisła nauka-astronomja.

W astronomji można rozróżnić parę etapów oddzielonych pomiędzy sobą głównie postępem technicznym: pierwszy — poprostu patrzenie w niebo, zakończył się, gdy w pamiętnym 1610 r. Galilei spojrzał — jako pierwszy człowiek — przez teleskop własnej budowy na gwiazdy. Dla kontrastu podam, że ów teleskop zbierał około 100 razy tyle światła, co oko nieuzbrojone, a obecnie budujący się dla obserwatorjum Mount-Wilson, 5-metrowy będzie miał zdolność zbierania 1.000.000 razy więcej światła niż oko ludzkie. — 300 lat — 10.000 razy silniejszy instrument!

Trzeci etap możnaby zacząć w 1838 r., gdy Henderson i inni, — niemal jednocześnie, — zmierzyli po raz pierwszy odległość gwiazdy: wreszcie ostatni to genjalny pomysł zastosowania fotografji do badań nieba. — Nieomylna płyta fotograficzna nietylko godzinami potrafi sumować płynące z wszechświata promienie, nietylko pozwala na dokładniejsze i niezawodne mierzenie odległości na niebie, ale daje nam znać o istnieniu mgławic dla oka niedostrzegalnych, bo wysyłających niewidzialne promienie pozafiołkowe.

Technika zrobiła dużo, ale o wiele więcej umysł! Na tak ważne, choć na pierwszy rzut oka zdawałoby się niedorzeczne pytanie, jaką jest przestrzeń — odpowiedział genjusz badaczy. Przestrzeń — a więc ośrodek, w którym wszystko się dzieje. Pierwszą odpowiedź dał Euklides, stawiając aksiomat: przestrzeń jest płaską, dwie równoległe nigdy się nie przecinają, a każda prosta (najkrótsza droga między 2 punktami) jest nieskończoną. Ale dlaczego? Z chwilą postawienia sobie tego pytania, aksiomat, który nam wrósł w krew, zachwiał się i — można powiedzieć — upadł. Gauss, Łobaczewski i inni wywiedli logicznie, że przestrzeń może być nietylko płaską, ale wypukłą (kula) lub wklęsłą (hyperboloida obrotowa). Ostatnio uczeni, a m. in. Einstein, przychylają się do hipotezy kulistej przestrzeni.

Jakież są konsekwencje tego rewolucyjnego ujęcia kwestji? Przedewszystkiem przestrzeń nie jest nieskończoną tylko nieograniczoną — podobnie jak ziemia: ma swoją pewną wielkość, ale „końca" nie ma. Promień wysłany w przestrzeń, po upływie dość długiego czasu wraca z powrotem w to samo miejsce. Jakto? Tak, można to śmiało wypowiedzieć: różne półkule tej samej gwiazdy można widzieć, patrząc raz w prawo, drugi raz w lewo!! Znamy nawet 2 mgławice (h 3433 i M83), o których przypuszczamy, że są temi samemi, tylko widzianemi w przeciwnych kierunkach nieba. I nawet możemy obliczyć wielkość przestrzeni. Einstein wychodzi z założenia, że wielkość przestrzeni zależy od ilości materji — w stosunku odwrotnym. Znając ilość materji (wszystkie



Mgławica M 33, której światło dociera do ziemi po 850 tysiącach lat.

gwiazdy, mgławice itd.) możemy ocenić wielkość tejże. Obecnie przyjmuje się promień wszechświata na 84 miljardy lat światła. Liczba ta, niewyobrażalnie duża, wyjaśnia nam odrazu dlaczego mimo kulistości przestrzeni, nie widzimy w jakimś punkcie nieba własnej ziemi. Poprostu na obiegnięcie wszechświata światło potrzebuje jakie 530 miljardów lat, a ziemia tymczasem egzystuje „dopiero" 2 miljardy lat.

Jakże małą część przestrzeni ogarniają nasze teleskopy, miljardową jej część zaledwie, a jednak i z tego znikomego wycinka możemy z dużą dozą prawdopodobieństwa wnioskować o całości wszechświata. Przy okazji wartoby coś powiedzieć na temat 4-wymiarowości przestrzeni Einsteina. Niewiadomo skąd u wielu „czwarty wymiar" identyfikuje się z spirytyzmem, duchami etc. Tu 4-ty wymiar nie ma z tem nic wspólnego. Poprostu obok zwykłych 3 wymiarów: długość, szerokość, wysokość (3 prostopadłe z I punktu) Einstein przyjmuje czwarty — czas. Z tego założenia wynika, że czas i przestrzeń są równorzędne, oczywiście w znaczeniu matematycznem.

Jakie miary-jednostki stosuje się w astronomji? Najprzód liczby: miljon — wiadomo, miljard — tysiąc miljonów, biljon — miljon miljonów, tryljon — miljon biljonów. Tak duże cyfry niewiele nam mówią. By sobie uprzytomnić miljard, pamiętajmy, że od narodzenia Chrystusa zaledwie miljard minut upłynął. Odległości mierzy się „latami światła". Jest to odległość, jaką w ciągu roku przebiegnie promień światła, którego szybkość jest przecież 300.000 km na sekundę. Ze słońca (odległość 149.500 km) światło biegnie do nas parę minut, a od najbliższej gwiazdy Centauri około 4 lat. Jednostka masy to masa słońca — większa ona jest od ziemi 332.000 razy.



Mgławica, zwana „Włosami Bereniki", według fotografji wykonanej w obserw. astron. w Mount Wilson.

Wyobraźmy sobie, że nie ziemia lub słońce, lecz cała orbita ziemi naokoło słońca, to ślad ołówka na papierze, wtedy najbliższa gwiazda znajduje się w odległości paruset metrów. Posuwając się dalej w przestrzeń widzimy gwiazdy „gęsto" rozmieszczone, a następnie rzadziej — i dochodzimy do końca tej gromady gwiazd, zwanej układem galaktycznym, do której my z drogą mleczną należymy. Średnica jego w naszej skali wyniesie dobre 20.000 km, co odpowiada połowie obwodu ziemi. Wyszedłszy poza galaktykę, przebywamy pustą przestrzenią kilkadziesiąt tysięcy kilometrów, nim natrafimy na następną mgławicę. I tak gdy porozmieszczamy parę miljonów takich zbiorowisk gwiazd w tych olbrzymich odstępach i zapełnimy kilka miljonów kilometrów przestworzy, dotrzemy dopiero do granicy zasięgu naszych teleskopów, stanowiącej przecież cząstkę całkowitej przestrzeni.

Każda mgławica to miljardy gwiazd, mamy ich więc w wszechświecie liczne biljony. Sławny astronom Jeans mówi:

„Każda droga mleczna czyli każda mgławica pozagalaktyczna zawiera miljardy gwiazd lub materji w stanie gazowym, która ma z czasem przetworzyć się w miljardy gwiazd. Układów takich mamy 2 miljony. W obszarze więc objętym zasięgiem teleskopu 2,5-metrowego istnieją tysiące biljonów gwiazd. Liczbę tę trzeba jeszcze znacznie powiększyć, aby uwzględnić niezbadane dotychczas części wszechświata. Według skromnej oceny ogólna liczba gwiazd we wszechświecie musi być tego samego rzędu, mniej więcej, co liczba ziarnek pyłu w Londynie. Pomyślmy o słońcu jako o jednym pyłku w wielkiem mieście, o ziemi miljonowej części takiego pyłku, a uzyskamy najbardziej może wymowny obraz stosunku naszego globu do reszty wszechświata".

By zachować proporcję między pow. cytatem a naszym pomniejszonym wszechświatem, trzeba dodać, że jeżeli pyłek normalnie oddalony jest od drugiego o cząstkę milimetra, to, w naszej skali, pyłki-gwiazdy oddalone są od siebie o kilkaset metrów.

Atom składa się właściwie z pustki, widzimy że wszechświat też nie można inaczej nazwać jak ogromną próżnią. Rozmieściwszy równo całą materję gwiazd w przestrzeni otrzymamy coś tak rozrzedzonego, że go z niczem nie można porównać, chyba matematycznie możnaby ująć przez powiedzenie, że w stosunku do wody „gęstość" wszechświata to jedynka dzielona przez 10 z 30 zerami.

Mając w oczach mniejwięcej proporcjonalny obraz wszechświata przypatrzmy mu się bliżej.

Wiemy już, że ziemia i planety wraz z słońcem to drobny twór pyłków. Należy on do wyodrębnionego, gęściej gwiazdami zasianego, zbioru gwiazd. Zbiór ten znajduje się w punkcie nieba, od którego o ja-

kie 40.000 lat światła oddaloną jest oś naszego ściślejszego wszechświata — galaktyki. Zbiór ten — nazwijmy go naszym — ma swój jakby równik i oś. Otóż słońce oddalone jest od osi zbioru o około 100 lat światła.

Mgławica, której część my stanowimy, jest podobną do mocno spłaszczonej kuli — elipsoidy. W jej płaszczyźnie równikowej gwiazdy są najgęściej rozmieszczone i to zagęszczenie tworzy jakby pierścień, który widzimy na niebie i nazywamy drogą mleczną. Ambicja nasza może pocieszyć się faktem, że nasza mgławica-galaktyka — jest jedną z największych w przestrzeni.

W naszym „rodzimym" wszechświecie znajdujemy jeszcze ugrupowania gwiazd zwane kulistemi, wyglądające jak kule zlepione z punktów-gwiazd. Takich grup znamy około 100 a rozmieszczone są po obu stronach galaktyki. Najbliższa leży od nas o jakie 20.000 a najdalsza o 125.000 lat!

Galaktyka jako całość nie spoczywa, lecz obraca się około swej osi w czasie (wg. Poincarégo) 500 miljonów lat. Obrotowi temu odpowiada szybkość około 450 km/sek. — 450.000 metrów na sekundę! Konieczność tego obrotu można nawet uzasadnić. Gwiazdy wskutek wzajemnego przyciągania się spadłyby wkońcu ku środkowi i zbiły się w jedną masę. Ruch obrotowy galaktyki nadaje im siłę odśrodkową, która przeciwdziała przyciąganiu i utrzymuje je w swem położeniu tak, jak ziemia nie może spaść na słońce, jak długo opisuje naokoło słońca koło — a właściwie elipsę. Obserwacje wykazały, że galaktyka wprawdzie obraca się, ale nie wszędzie jednakowym ruchem, — gwiazdy bliższe środka obracają się szybciej — dalsze wolniej, a to, by zrównoważyć większe przyciąganie wewnętrznych gwiazd, a mniejsze zewnątrz.

Cała galaktyka zawiera kilkaset miljardów gwiazd, — masa ich wynosi około 200 miljardów mas słońca. Jakże drobną część tych gwiazd widzimy gołem okiem! Zaledwie parę tysięcy, a tyle ich jest w obrębie naszego wszechświata, że moglibyśmy prezent zrobić każdemu mieszkańcowi ziemi z 200 conajmniej gwiazd i jeszczeby zostało cośkolwiek do rozdania.

I ta galaktyka — której już nie możemy objąć wyobraźnią — nie jest jedyną. Takich mgławic jak ona mamy dużo, bardzo dużo — parę miljonów, oddalonych od nas tak ogromnie, że do najbliższej światło pędzi przez 850.000 lat.

Mgławice — te wyspy w przeogromnej pustce przestrzeni — dzielimy ogólnie na: planetarne, galaktyczne i spiralne.

Pierwsze liczy się tylko na setki — znajdują się w obrębie naszej galaktyki. Widzimy je teleskopem o dokładnie zarysowanych okrągłych kształtach. Możnaby przypuszczać, że są to gwiazdy o bardzo rozległej a niesłychanie rozszerzonej atmosferze-mgławicy. Dla przykładu podam, że mgławica t. zw. pierścieniowa w Lutni ma średnicę powyżej 1.5 miljarda kilometrów, a więc przewyższa kilkaset razy średnicę orbity ziemi.

Mgławice galaktyczne to jakby świecące woale gazu rzucone w przestrzeń, — nie mają kształtów regularnych. Znajdują się też w obrębie galaktyki, rozpościerają się, im dokładniej badane przez teleskop, tem dalej i zawierają w sobie parę gwiazd. Międzygwiezdna przestrzeń nie jest całkowicie pustą — zawiera ogromnie rozrzedzony gaz o różnych stopniach skupienia, gdzieniegdzie świecący dzięki promieniowaniu gwiazd Gdzieniegdzie jest tak skupiony, że tworzy nieprzeźroczystą — czarną zasłonę, — jak n. p. znany „Koński Łeb" w mgławicy Oriona. Wreszcie ostatni rodzaj mgławic to mgławice pozagalaktyczne, zwane białe lub spiralne. Mają one kształt ściśle określony. U wielu zauważono budowę spiralną. Cudną jest mgławica w Andromedzie, — z rozmachem rzucony szmat materji, — kolebka światów. Inne mają kształt soczewki, najwidoczniej widzimy je z boku.

Wszystkie one są olbrzymie.

Powstanie mgławic można sobie wyobrazić jako pierwsze zagęszczenia pierwotnej ogólnej mgławicy — o ile taka wogóle istniała!

Mgławice posiadają ruch obrotowy, zależnie od szybkości ruchu mają kształt kulisty, spłaszczony lub płasko-soczewkowaty. Przy szybszym ruchu materja zostaje odrzuconą, w płaszczyźnie równika tworzy jakby jej wąskie przedłużenie. Tu uważne obserwacje wykazały zgrubienia, które uważamy za rodzące się z mgławicy, z powodu lokalnych zagęszczeń materji, gwiazdy.

Gwiazdy — powiedzmy i o nich parę słów. Większość to samotniki (tylko nieliczne wyjątki mają towarzyszy — planety), krążące w przestrzeni i wysyłające promienie w wszechświat. Promienie te występują w 3 rodzajach: świetlne, cieplne i niewidzialne — pozafiołkowe. Im gwiazda ma niższą temperaturę, tem więcej promienieje ciepła w stosunku do światła. Słońce ma temperaturę 6000°. Sirius 11.000. Gwiazda Planketta 28.000°. Herkulesa 2.650°. To są mniejwięcej granice temperatur: od 30.000 do 2.500. Nie zapominajmy, że temperatury środka gwiazd są znacznie wyższe i liczą się na dziesiątki miljonów stopni.

W jasności gwiazd mamy większe różnice: najjaśniejsza S Dorado jest 300.000 razy jaśniejszą od słońca, najciemniejsza Wolf 359—50.000 razy ciemniejszą. Skala olbrzymia, bo 15-to miljardowa! Gdyby tak przypadkiem słońce nabrało takiej siły promieniowania — ziemia i my z nią momentalnie zamienilibyśmy się w parę.

Wielkości gwiazd są różne. N. p. największa Antares jest o średnicy prawie 500 razy większej od słońca, a najmniejsza Van Maanen, zaledwie wielkości ziemi.

(Dokończenie na str. 31-ej).

Na prawo: Galileusz przed soborem broni w r. 1633 swych tez naukowych. Wtedy to miał użyć powiedzenia „Eppur si muove".



Poniżej: Oryginalną postać posiada mgławica „Andromeda".





Gigantyczne teleskopy zbliżają nas do gwiazd.

Poniżej: Na szczycie góry Wilsona w U. S. A. zbudowano olbrzymie obserwatorjum astronomiczne, z teleskopem, którego lustro posiada 3 m średnicy.



Polska i Kraków widziane przez...

Parę miesięcy temu bawiła w Polsce niemiec-
ka ekspedycja filmowa. Operatorzy nakręcili
szereg filmów krajoznawczych o Polsce, które
są teraz wyświetlane w tutejszych kinach, jako do-
datki. W największym kinoteatrze Berlina odbyła
się onegdaj premjera operetkowego filmu p. t. „Heis-
ses Blut" (Gorąca krew). Dodatkiem, uzupełniającym
ten film i wypełniającym program, był film o Kra-
kowie p. t.: „Die alte Königstadt Krakau" (Kraków
stary gród królewski).
Hejnałem kościoła Marjackiego zaczyna się ten pięk-
kny film. Przy końcu widzimy rosnący kopiec Mar-
szałka... W niespełna 20 minut pokazany jest Kra-
ków. Starczyło nawet jeszcze czasu, żeby zwiedzić
klasztor w Bielanach, który skąpany jest w promie-
niach złotego i zdrowego słońca. Każdy widok i każ-
de ujęcie ma w sobie coś specyficznego, coś cieka-
wego. Targ na Rynku, widziany przez objektyw nie-
mieckiego operatora, ma nawet dla Polaka i Krako-
wianina coś jeszcze niewidzianego w sobie.

kichś tajemniczych powodów w Polsce wyświetlane!
Czy to nie jest paradoks? Ekrany całego świata będą
wtajemniczały widzów w piękne i romantyczne zauł-
ki Krakowa, będą śpiewały hymny pochwalne na
cześć polskich Karpat, ale Polacy sami nie zobaczą
u siebie „w domu", jak piękny mają kraj...
Taki naprzykład film o zakopiańskich góralach:
„Die Heimat der Góralen" (Ojczyzna góralów). Ile
w tem jest niewypowiedzianego piękna, romantyzmu,
tężyzny życia, świeżości. Ot nic: w chacie góralskiej
stary jej właściciel wyjmuje z komody kobzę i pyta
po polsku żonę i córkę, które są zajęte we własnej
„fabryczce przędzy", co im zagrać. Staruszka, na
twarzy której ciężki rylec twardego życia pozostawił
głębokie zmarszczki, mówi krzepkim głosem, żeby
zagrał coś, coby ich wszystkich rozweseliło... I góral
gra. Przecież djalogu tego publiczność kin tutejszych
nie rozumie, ale niemniej reakcja jest tak silna, że
na widowni rozlegają się silne brawa.
Prasa tutejsza wyraziła się jednogłośnie, iż fil-









Od góry ku do-
łowi: Pastuch
huculski posia-
da nadwyraz
charakterysty-
czną sylwetkę.
Hucułka przy
oryginalnej ku-
chni o staro-
świeckich ka-
flach. — Czar-
nohora posiada
widoki, które
mogą konkuro-
wać z najpię-
kniejszemi za-
kątkami świa-
ta. — Wnętrze
chaty góral-
skiej z staro-
świecką tkalnią



Liczne obrządki towarzyszą zawarciu ślubu wśród Hucułów.

Oczywiście, iż film ten nakręcony został przez sta-
rych rutynowanych specjalistów. Ale nie o to cho-
dzi. Obcy obserwator widzi często ciekawsze o wiele
rzeczy, aniżeli stały mieszkaniec jakiegoś miasta. Naj-
lepszym przykładem jest na to stwierdzony fakt, iż
reporter gazety, przyjeżdżając do miasta na jeden
dzień, zauważa nieraz rzeczy, których nie widzi sta-
ły korespondent tejsamej gazety, mieszkający w tem-
że mieście od szeregu lat.
Jest to jeden z powodów udánia się filmu o Kra-
kowie, jak również pozostałych, z których każdy dla
siebie jest małym majstersztykiem. Przypominam so-
bie tortury widzów polskich kin, którzy obowiąz-
kowo muszą oglądać takiesame dodatki, uzupełnia-
jące programy, ale... nakręcone w Polsce przez ro-
dzimych filmowców. Wspominam o tem jedynie dla-
tego, bo tak film o Krakowie, jak również pozo-
stałe, o których piszę nieco niżej nie będą z ja-

mowcy niemieccy odkryli kopalnię pomysłów filmo-
wych w Polsce, które niewiadomo, dlaczego nie by-
ły dotychczas wyzyskiwane...! Doskonale dobrane
typy góralskie, czerstwe, kipiące życiem młode dziew-
częta — pozostawiły w Berlinie niezapomniane wra-
żenie i zyskały sobie sympatje wszystkich. Wycho-
dząc z kina, słyszałem na własne uszy, jak jakiś pan
mówił do swej towarzyszki: „Da, zu diesen Góralen
müsste man doch direkt einmal hinfahren..." (Do
tych górali trzebaby się było rzeczywiście wybrać...).
Albo Huculszczyzna. Dla zagranicy, szczególnie zaś
dla Zachodu, jest to poprostu nowoodkryty i niezna-
ny świat. Patrząc na ślub młodej huculskiej pary
i stare zachowane obyczaje, nie wychodzi się z po-
dziwu. Jestem przekonany, iż nietylko publiczność
niemiecka zachwyca się tem, bo widzi coś nowego,
ale i w Polsce o tem nie wielu wie...

Zygmunt Schindler.

...objektyw niemieckiego operatora









Od góry ku do-
łowi: Fragment
tańca góralskie-
go. — Idący na
nabożeństwo
OO. Kameduli
przypominają
swą postacią
ubiegłe czasy. —
Katedra na Wa-
welu. — Posza-
rzałe mury Bar-
bakanu przeno-
szą nas w czasy
zygmuntowskie

Dwory poleskich powstańców

Blisko miasteczka Janowa poleskiego istnieje jeszcze pewien stary dwór w Laskowicach, którego wiek zupełnie poważnie określają na kilkaset lat. Zapewne dużo w tem przesady niema. Był on niegdyś długie stulecia w posiadaniu jednej z czołowych rodzin tego kraju — Korsaków — jednakże skonfiskowany został za udział ich w powstaniu. Przedtem zapewne świetniej się prezentował — teraz chyba tylko sentyment dla starego domu powoduje, że ogląda go się z powagą — jako cenną pamiątkę.

Już przy wjeździe w aleję uderza przybysza widok wysokiej murowanej kapliczki, zakończonej u szczytu żelaznym krzyżem. Dawny, pamiętający królów polskich wizerunek Matki Boskiej, Moskale po 63 roku zamurowali. Lecz nie śmiano tknąć sędziwego muru, z którego opadał powoli tynk, więc do zmartwychwstania Polski dochował się w stanie opłakanym. Mimo to jednak — czy właśnie dlatego, każdy, kto umie czcić i kochać, pochyli kornie przed nim głowę, — jako przed symbolem czegoś wyniosłego, co stało na straży uczuć i honoru prześladowanych za wiarę i tęsknotę ku wolności.

Dwór zamyka czworobok jesionów i lip potężnych. One to nadają ogólny ton powagi domowi, bo ten uległ wielu zmianom, przechodząc z rąk do rąk różnych właścicieli i zatracił wiele charakterystycznych rysów dawnej szlacheckiej siedziby. Wnętrze już zupełnie pozbawione jest pamiątek. I może tylko po kątach snują się w szarą godzinę nici zapomnianych zdarzeń.

Opodal dworu stoi prawosławna cerkiew. Nieciekawa zewnętrznym wyglądem — tak samo jaskrawo niebiesko malowana — jak inne. Warta jednak wzmianki z tego powodu, że fundowali ją miejscowi „bojarowie" w pradawnych czasach. Naturalnie, oryginał jej już nie istnieje, lecz nowy budynek wzniesiono na gruzach poprzedniego. Akt fundacji dochował się do współczesności, jako cenny przyczynek do historji Polesia i jego rodów, między innemi Ordów, panów na pobliskich Nowoszycach, czy też Lachowiczach.

O wiele okazalej przedstawia się odwieczna rezydencja możnego i słynnego w całym kraju rodu Orzeszków — Żakoziel. Orzeszkowie byli panami olbrzymich fortun. Nawet w tym samym powiecie drohickim posiadali jeszcze Ludwinów, gdzie sporo czasu przebywała wielka pisarka i patrjotka Eliza z Pawłowskich Orzeszkowa, — i Bieliń, z którego widzieć można tylko nadgryzione zębem czasu mury zameczku, mogące być jednakże przy znacznym nakładzie pieniężnym odrestaurowane. Najciekawszym jest Zakoziel.

Prowadzi doń z Perkowicz bita droga, przechodząca na terytorjum majątku w potężną, cienistą aleję lipową, u końca której bieleje pałac. Pierwotnie dom o typowym łamanym dachu był parterowy. Takim go też zostawiła następnym właścicielom hr. Bobrinska, która po konfiskacie za udział Orzeszków w powstaniu, Zakoziel nabyła. Dama owa, chcąc dać dowód, iż Moskale lepiej administrują, aniżeli Polacy, cały swój dochód z dóbr rosyjskich pakowała w gospodarkę na nowonabytym majątku. Przedewszystkiem zapragnęła go postawić na poziomie, odpowiadającym jej arystokratycznemu tytułowi. Dlatego też zapewne, między wieloma innemi zmianami, wybudowała komfortową stajnię na konie wyścigowe z krytą ujeżdżalnią.

Po wojnie chwilowym właścicielem Zakoziela został p. Wesołowski z Warszawy. Za jego rządów przybyła nadbudówka w postaci pięterka nad dworem, co znacznie popsuło czystość stylu i zupełnie przekształciło ducha zabytkowego domu.

Następnie nabył Zakoziel p. Karol Tołłoczko. Nowy dziedzic ukochał go i otoczył czułą i widoczną opieką. Wnętrze, które zastał puste, starał się tak zapełnić i sharmonizować, aby jak najbardziej przypominało lata przed 63 rokiem. A jest tam wspaniały salon z kolumnadą, z niego zaś doskonale widać wjazdową aleję, co ciągnie się pod dom, urywa na nim, aby znów za nim przedłużyć się hen, — aż w stronę odległej wsi. W całości zachowane, wysokie i masywne drzwi dębowe, stonowane są z resztą poważnej architektury.



Kaplica z grobami rodziny Orzeszków w Zakozielu.

Nazewnątrz rozlega się olbrzymi i niezwykle malowniczy park, poprzerzynany w różnych kierunkach alejami, drogami i ścieżkami, wciskającemi się w gąszcz, pełznącemi wśród niego tajemniczą serpentyną, wkońcu gdzieś głęboko znikającemi. Piękno rzadkich okazów drzew podkreśla sadzawka, wyglądająca na zupełnie naturalne jeziorko, posiadające moc różnych odnóg i kanałów. Sadzawka ta podchodzi aż pod sam dom, ku kwietnemu ogrodowi i daje miły efekt dla oka, wskutek przerzucenia przez nią łukowego mostku. Naokół stoją majestatyczne lipy, zapatrzone w czar jesiennego nieba.

Opodal przy drodze stoi pomnik z 1832 roku, na którym ledwie można odcyfrować prośbę o modlitwę za duszę Nikodema i wszystkich poległych w lasach.

Napis mówiący mało, a jakże jednak zrozumiały dla potomności!

Najbardziej godna uwagi jest jednakże kaplica w stylu neo-gotyckim, zawierająca rodzinne groby Orzeszków. Prezentuje się ona jeszcze bardzo okazale, zdobią ją dwie żelazne tarcze z herbami dziedziców. Dawniej była ona kryta miedzianą blachą. Niestety, — miała szczęście podobać się naszym sąsiadom z Zachodu, więc ją zdarli i na długi okres zostawili bez dachu. Dopiero po objęciu w posiadanie Zakoziela przez p. Tołłoczkę, pokryto kaplicę tymczasowo papą i w ten sposób uratowano od ruiny ciekawy pomnik kresowy.

W podziemiach stoją rzędem żelazne, ciężkie trumny. Nikt nie mąci ciszy śpiących snem wiecznym — chyba tylko lekki wiaterek, co zaszeleściwszy w opadłych liściach, dostał się przez otwarte okienko do wnętrza krypty.

Zapada zmrok, więc powoli wraca do obór bydło — wracają z ostatniej jesiennej pracy na polu — i ludzie. Długim szeregiem idą dziewczęta, nucąc smętną pieśń dolin i równin. Czasem brzmi ona potężnie, śpiewana wszystkiemi głosami, czasem cichnie znowu.

Dziwne człowieka ogarnia uczucie. Jakiś smutek i żal taki bezbrzeżny — jak otaczające mnie olbrzymie, ledwie trochę zamieszkałe obszary. Żal za tem, co było pięknem, a minęło, zda się bezpowrotnie. Żal za wielką myślą i wielkim czynem wielkich duchem ludzi! **Ksawery Niedobitowski.**

Poniżej od lewej: Do dworu w Zakozielu zajeżdża się wspaniałą aleją, której drzewa tworzą chłodne w lecie ustronie. — Dwór Zakozielski w stylu polskiego empire'u.





Na wodę – po słońce i zdrowie!



Wschód słońca nad Bałtykiem.

Ahoj!!

Dziki, wojowniczy okrzyk wodnych skautów, trampów i wszelakiego rodzaju wieku i płci włóczęgów morskich jest u nas w Polsce stosunkowo nieznany. Spotkać się z nim można jeszcze conajwyżej nad samem morzem, gdzie tradycji starego wodnego zawołania pilnują nietylko marynarze i rybacy, ale i nadający wybrzeżu i wodzie nowy ton i koloryt właściciele rasowych żaglówek, lub mniej arystokratycznych, choć równie miłych i eleganckich kajaków.

A okrzyk ten, będący zarazem pozdrowieniem, przywitaniem i pożegnaniem, rozbrzmiewa zagranicą wszędzie i wartoby go spopularyzować i u nas. Miło jest krzyknąć nieznajomemu koledze takie: Ahoj! — rzucić mu pozdrowienie i otrzymać je samemu. Odrazu jakoś człowiekowi weselej na duszy, czujemy, że wszyscy należymy do jednej, wielkiej rodziny entuzjastów wody i słońca, do tego samego gatunku niepoprawnych wielbicieli przyrody w jej niesfałszowanem jeszcze kulturą i „cywilizacją" wydaniu.

Turystyka wodna przybrała w ostatnich czasach u nas rozmiary zastraszającej plagi egipskiej, jak twierdzą niektórzy, stale jednak zamało jeszcze widzimy na polskich rzekach chłopców i dziewcząt na gibkich kajakach i śmigłych kanadyjkach. Popularne składaki, tworzone często własnym przemysłem, które można wziąć ze sobą w worku do pociągu, sztywne arystokratyczne szwedzkie kajaki i eleganckie wysmukłe canoe pokryją już wkrótce rojem ruchomych punkcików nasze rzeki, jeziora i kanały, napełnią je życiem i gwarem. Wypłyną na wodę opalone postacie, popłyną silne młodzieńczym zapałem, żądne powietrza, słońca i wrażeń.

Cały ten ruch, zdrowy, bo wypływający z normalnej tęsknoty człowieka za przyrodą, jest u nas coprawda trochę dziki i nieopanowany. Swoboda i wolność jest naturalnie rzeczą niezwykle cenną i nikt niech też nie posądza nas o zamiar hamowania jej czy ukracania. Wręcz przeciwnie, chodzi o to, by stworzyć jak najlepsze i jak najbardziej przystępne warunki dla dalszego rozwoju turystyki wodnej i campingu wogóle, chodzi o to, by właśnie umożliwić zetknięcie się młodych ludzi z cudami natury i zapewnić im przebywanie na zdrowem, świeżem powietrzu jaknajdłużej w warunkach możliwie najznośniejszych.

A tutaj, niestety, jeszcze bardzo dużo jest do zrobienia. W porównaniu z zagranicą, nie mamy nietylko żadnych obozów i stacyj oficjalnych dla kajakowców, ale w wielu wypadkach nie mamy nawet uregulowanych odpowiednio rzek.

Wszędzie zagranicą sprawa ta wygląda w ten sposób, że nad wszystkimi rzekami, nadającemi się do żeglugi kajakowej, istnieją bardzo gęsto rozsiane stacje noclegowe, gdzie za minimalną opłatą można postawić sobie namiot i przenocować wygodnie. Obozy te, to pola i łąki, względnie polany leśne,



Po rozbiciu namiotów campingowych odbywa się narada nad montażem składaków...

Poniżej: Jazda żaglówką na wodach jeziora jest równie przyjemną, jak na wzburzonych falach morza...



wydzierżawione od właścicieli przez związki i kluby i zatrzymać się w nich mogą wszyscy bez wyjątku zrzeszeni kajakowcy. Zaoszczędza im to wiele nieprzyjemności i daje dużo korzyści. Stacje te oznaczone są odpowiednim znakiem rozpoznawczym, umieszczonym na widocznem z rzeki miejscu i leżą w pobliżu leśniczówek, gajówek lub osiedli tak, że zaopatrzone są wszędzie w wodę i dają możność otrzymania na miejscu środków spożywczych.

To jest najprymitywniejszy warunek rozwoju turystyki wodnej. Dopiero wtedy będzie można, zaopatrzywszy się w namiot, który zmieści się wygodnie w każdym kajaku, ruszyć w beztroską włóczęgę, zapomnieć na kilka dni, czy tygodni o mieście, o biurze i pracy, przepłukać zmęczone płuca świeżem, ożywczem powietrzem, wykąpać się dowoli w słońcu i wodzie. Dla młodych, zdrowych ludzi wystarczy ziemia jako posłanie i namiot jako dach nad głową. Bardziej wygodni mogą z sobą wziąć poduszki gumowe, a nawet gumowe... materace do nadymania, bo i to już istnieje. „Prawdziwy tramp" gardzi jednak takiemi przedmiotami, nie uznając nawet podróżnego primusa czy lampki spirytusowej. Wystarczy mu ognisko, rozpalone na brzegu, a jako jedyne naczynie „kuchenne" kociołek, menażka i łyżka.

Skala zainteresowań i potrzeb jest naturalnie olbrzymia, jak olbrzymia i różnorodna jest natura ludzka. Są tacy, którzy uważają sobie za punkt honoru przewędrować z kajakiem, ciągnionym na linie kilkanaście, czy nawet kilkadziesiąt kilometrów pod prąd, by dopiero teraz, po tym rzetelnym trudzie i znojnym wysiłku, oddać się rozkoszy płynięcia w dół rzeki z wartkim prądem. Są inni, którzy są zdania, że zamiast bawić się w konika, lepiej poprostu wsiąść do pociągu i pojechać wygodnie na miejsce przeznaczenia, by stamtąd już kajakiem dokonać wędrówki.

Są ludzie, co za nic w świecie nie przyczepiliby do kajaku małego motorka, lub choćby żagla, są inni, którzy nie mają skrupułów. Są sportowcy, dla których wartość jedyną i wyłączną mają zawody, mistrzostwa i rekordy, są turyści, którzy słyszeć nie chcą o wszystkich tych historjach i uważają je za zakałę „prawdziwego" sportu kajakowego. Są wreszcie wycieczkowicze niedzielni, którymi gardzą zarówno turyści jak i sportowcy zgodnie.





Poniżej: Nałożenie powłoki na szkielet składaka nie przedstawia już większych trudności...

Przy montażu szkieletu składaka biorą udział również i kobiety...
Wszystkie zdjęcia fot. dr. P. Wolff.

Są purytanie i zwolennicy wolnej miłości, są „miljonerzy", ubrani w jedwabne spodenki i eleganci, zbrojni nawet w kajaku w najmodniejszy monokl. Są ludzie pracy i ludzie interesu, kapitanowie przemysłu i studenci gimnazjalni. Są przedewszystkiem: panowie i — panie.

Wszyscy jednak nie daliby za nic w świecie ograbić się z przyjemności przebywania na wodzie, nie zamieniliby za żadne skarby wspaniałego cudu zachodzącego słońca, czy szklistego opalu porannych mgieł nad wodą. Kto raz oddał się temu szaleństwu wkroczenia do małej chybotliwej łupinki, nie zaprze się już nigdy kajaka, choćby go nożem krajali, choćby mu dawali — auto nawet. Kajak bowiem, ten parjas sportów wodnych, na który wioślarze patrzą z ukosa i niemal z pogardą, ma w sobie jakiś nieprzeparty urok i czar niezbadany.

I jeszcze jedno:

Jakkolwiek wszelkie gadanie o niebezpieczeństwie jazdy kajakiem, o małej stabilności kajaka i łatwej jego wywrotności należy nazwać właśnie tylko — gadaniem, nie można przemilczeć że od czasu do czasu może się komuś taka przymusowa kąpiel przydarzyć. Lepiej więc już stanowczo na wszelki wypadek nauczyć się — pływać. A nuż się wywróci?...

Sam tak zrobiłem i — co tu dużo gadać — warto, po stokroć warto. — To cudowny sport! Rozkosz! Pycha! Nawet pod wodą, gdzie przebywałem stosunkowo długo, czułem się świetnie.

Tylko, psiakość to... sztuczne potem oddychanie!

Jerzy Roha.

W OCZEKIWANIU WYCIECZKI WODNEJ... →
Fot. Dr. Wolff — Wiedeń

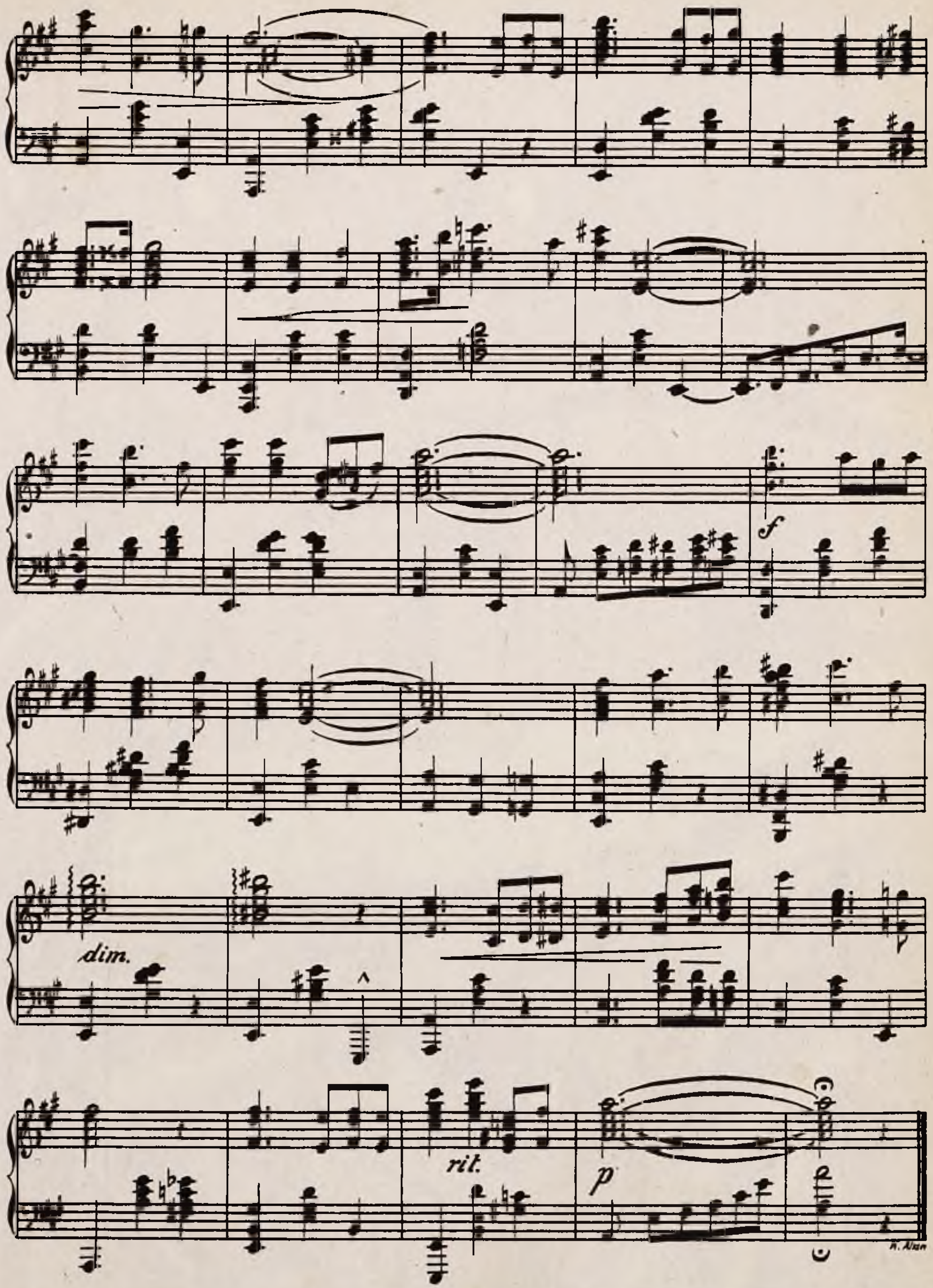


TO BYŁ TYLKO SEN...

WALC ANGIELSKI

Muzyka: MARJANA RADZIKA







Opowieść z EPOKI KAMIENNEJ

8-my ODCINEK.

H. G. WELLS | **PRZEKŁAD W. de RICHE** | **ILUSTR. CHARLIE**

Stara znała więcej słów, niż jakikolwiek inny człowiek plemienia. A złorzeczenia jej były straszliwe. Czasami wrzeszczała i wyła, jak nieprzytomna, a czasami jej gardłowe krzyki były przejawem jej zbrodniczych myśli. Powiedziała jednak Eudenie, co ją czeka, o lwie i przyszłym jej losie — A Ughlomi? Ha! Ha! Ughlomi nie żyje!

Nagle Eudena otworzyła oczy, usiadła i spojrzała odważnie prosto w twarz starej. — Nie — rzekła powoli, jakby sobie przypominając. — Nie widziałam, aby zabito mego Ughlomiego. Nie widziałam, aby go zabito!

— Powiedzcie jej — wrzasnęła starucha. — Powiedzcie jej, jak zginął Ughlomi!

Spojrzała na mężczyzn, a wszystkie kobiety i dzieci spojrzały również.

Nikt nie odpowiedział. Stali, zawstydzeni.

— Powiedzcie jej — rzekła stara. Mężczyźni spoglądali, jeden na drugiego.

Twarz Eudeny rozjaśniła się.

— Powiedzcie jej — rzekła. — Powiedzcie jej, mężowie. Powiedzcie, jak zginął Ughlomi!

Stara wstała i uderzyła ją w twarz.

Serce zadrżało w piersiach Eudeny, ale twarz jej nawet nie drgnęła. Stara przyglądała się jej przez chwilę krwiożerczemi oczyma.

Potem zaczęła obrzucać obelgami mężczyzn, ponieważ bali się tropić Ughlomiego. Od śmierci Uyi, nie bała się nikogo. Łajała ich, jak łaje się dzieci. Odpowiadali jej obelgami, a potem zaczęli oskarżać się nawzajem. Aż wkońcu Siss Tropiciel nakazał jej milczenie.

O wschodzie słońca wzięli Eudenę i poszli — chociaż serce tłukło się w ich piersiach — drogą, którą stary lew zrobił wśród trzcin. Poszli wszyscy mężczyźni. W jednem miejscu znajdowała się grupa drzew olchowych i tu pospiesznie przywiązali Eudenę, aby ją lew mógł znaleźć o zmroku, kiedy wybierze się na łowy, poczem zawrócili w stronę obozu. Kiedy znaleźli się w jego pobliżu, zatrzymali się. Siss zatrzymał się pierwszy i spojrzał w stronę olch. Mogli, nawet z tej odległości, widzieć jej głowę, mały czarny punkcik pod konarem wielkiego drzewa. Wszystko było w porządku.

Kobiety i dzieci stały, przyglądając się, na szczycie wzgórza. A stara stała tam również i wołała na lwa, aby zabrał sobie tę, której szukał i doradzała mu, jak ma ją męczyć.

Eudena była teraz bardzo znużona, znękana biciem i troską i tylko trwoga przed tem, co się stać miało, utrzymywała ją na nogach. Słońce przeglądało, jak krwawa kula, przez pnie dalekich drzew orzechowych, a cały zachód stał jeszcze w ogniu. Wietrzyk wieczorny zamarł w ciepłej ciszy. W powietrzu unosiły się roje owadów, od czasu do czasu słychać było plusk ryb, wyskakujących ponad powierzchnię rzeki, a niekiedy przelatywał jakiś ptak. Kątem oka Eudena mogła widzieć część obozowiska i drobne postacie, przyglądające się jej z daleka, i mogła słyszeć cichy, ale wyraźny odgłos uderzania w krzesiwo. Tuż obok, ciemna i cicha, widniała gęstwina trzcin legowiska lwa.

Nagle zaprzestano krzesania ognia. Spojrzała na niebo i przekonała się, że słońce zaszło, a ponad jej głową ukazał się księżyc. Spojrzała w stronę legowiska lwa, śledząc za cieniem jego cielska wśród trzcin, a potem nagle zaczęła szamotać się i szarpać, płacząc i wzywając na pomoc Ughlomiego.

Ale Ughlomi był daleko. Kiedy ujrzeli towarzyszące jej szamotaniu się ruchy jej głowy, zaczęli wszyscy krzyczeć, dopóki nie zaprzestała i nie poddała się losowi. A potem pokazały się nietoperze i gwiazda, przypominająca jej Ughlomiego, wyłoniła się z ukrycia. Zaczęła wzywać ją na pomoc cichym głosem, ponieważ bała się lwa. W gęstwinie trzcin panowała zupełna cisza.

Mrok otulił Eudenę, księżyc świecił coraz jaśniej, a cienie wśród trzcin i olch, gdzie leżał lew, wyglądały coraz groźniej. Ale wciąż panowała zupełna cisza.

Spojrzała w stronę obozowiska, ujrzała płonące i dymiące ogniska i kręcących się między niemi mężczyzn i kobiety. Ponad rzeką unosiła się biała mgła. Potem, z oddali, doleciało szczekanie młodych lisów i wycie hieny.

Czekanie sprawiało jej ból. Po długim czasie jakieś zwierzę plusnęło w wodzie i jak się zdawało Eudenie, przepłynęło rzekę w sąsiedztwie legowiska lwa, ale nie mogła dostrzec, co to było za zwierzę. Od brodu dochodziło do jej uszu pluskanie słoni — tak było cicho.

Ziemia była teraz bezbarwną mieszaniną białych odblasków i nieprzeniknionych ciemności pod błękitnem niebem. Srebrzysty księżyc oświecał filigranowe wierzchołki drzew leszczynowych, a ponad mrocznemi wzgórzami na wschodzie widać było coraz więcej gwiazd. Ogniska obozu płonęły jasno, a ciemne postacie siedziały przy nich, czekając. Czekały na krzyk... Spodziewały się go lada chwila.

Noc ożywiła się nagle. Eudena wstrzymała oddech w piersiach. Jakieś cienie przemknęły — jeden, drugi, trzeci... jakieś szybko się poruszające cienie... Szakale.

Potem znów przyszła kolej na długie czekanie.

Nagle poruszyło się coś w gęstwinie... Usłyszała, jakby szamotanie. Rozległ się trzask trzcin, raz, drugi, trzeci i znowu zapadła cisza. Usłyszała cichy, groźny pomruk. Wstrzymała oddech w piersiach; zacisnęła wargi, aby nie krzyczeć. Znów cisza — czyż nigdy się nie skończy? Nagle coś poruszyło się w zaroślach. Krzyknęła mimowoli. Nie słyszała odpowiadającego jej wycia na wzgórzu.

Gęstwina ożywiła się znowu. Ujrzała, że źdźbła trawy poruszają się w świetle księżyca, że kołyszą się olchy... Szarpnęła więzami gwałtownie — w ostanim wysiłku. Ale nic się nie stało. Obok niej przebiegło, jakby z tuzin potworów i znowu nastała cisza. Księżyc skrył się za dalekiemi drzewami orzechowemi i noc stała się zupełnie ciemna. Potem rozległ się jakiś dziwny szmer, jakby ktoś oddychał ciężko... Odgłos ten stawał się coraz szybszy i coraz słabszy. Znów nastała cisza, a potem dało się słyszeć mruczenie jakiegoś zwierza. W oddali na wschodzie zatrąbił słoń, a z pomiędzy drzew doleciało parskanie i stękanie, które wkrótce ucichło.

W ciągu długiej przerwy ukazał się znów księżyc, przeglądający poprzez pnie drzew na szczycie wzgórza, wysyłając wielkie smugi światła i cienia. Nagle rozległ się głośny szelest, plusk

ciche warczenie... po którem nastąpił cios.

Kobiety i dzieci w obozie spały nocy tej bardzo mało i słyszały okrzyk Eudeny. Słyszeli go i mężczyźni. Kiedy rozległ się krzyk, uczuli się bezpiecznymi i pospieszyli do ognia, aby spocząć. Stara roześmiała się, słysząc krzyk i roześmiała się raz drugi, ponieważ Si, mały przyjaciel Eudeny zapłakał. zaledwie zbudził się dzień, zerwali się wszyscy na nogi i spojrzeli w stronę olszyny. Zobaczyli, że Eudena zniknęła. Ogarnęła ich radość, że żądza Uyi została zaspokojona. Ale prześladowała ich wciąż myśl o Ugh-lomim. Spodziewali się zemsty, gdyż świat znał zemstę oddawna. Nagle hiena wypadła z gąszczy i uciekła, galopując w trzciny. Pysk jej i łapy były pokryte ciemnemi plamami. Na ten widok mężczyźni zaczęli krzyczeć, ciskać kamienie i biec w stronę, gdzie zniknęło zwierze, gdyż hiena we dnie jest skończonym tchórzem. Wszyscy ludzie nienawidzili hieny, ponieważ porywała dzieci i kąsała leżących na skraju obozowiska. A Skóra Kota, cisnąwszy kamień, ugodził zwierzę w bok, co pobudziło całe plemię do radosnych okrzyków.

Na wszczęty przez nich hałas rozległo się łopotanie skrzydeł od strony, gdzie lew miał swoje legowisko i trzy białogłowe sępy wzbiły się zwolna w powietrze, zataczając wielkie kręgi i usiadły na gałęziach olchy, z głowami zwróconemi w stronę legowiska. — Pan nasz wyszedł — rzekła stara kobieta, wskazując palcem. — Sępy otrzymały należną im cząstkę Eudeny. — Przez chwilę trwali w milczeniu, a potem, jeden za drugim, cofnęli się w gęstwinę.

Ponad drzewami na wschodzie, budząc cały świat życia i barw, trysnęło nagle światło wschodzącego słońca. Na jego widok dzieci zaczęły krzyczeć, klaskać w ręce i biec w stronę wody. Tylko mały Si ociągał się i spoglądał w stronę olszyny, gdzie ubiegłego wieczora widział głowę Eudeny.

Ale Uya, stary lew był w domu i leżał cicho na boku. Nie leżał w swojem legowisku, tylko w pewnej od niego odległości, pośród zgniecionej trawy. Pod okiem jego widniała mała rana, drobne ukąszenia pierwszej siekiery. Ziemia pod nim była zbroczona krwią, a w jego piersi znajdował się mały otwór, ślad włóczni Ugh-lomiego. Na boku jego i na karku widniały rany zadane pazurami sępów. Albowiem Ugh-lomi zabił lwa w chwili, kiedy ten go powalił, wbijając włócznię, na chybił trafił, w jego pierś. Pchnął go włócznią z całej siły i przebił serce olbrzymiego zwierzęcia. W ten sposób skończyło się panowanie lwa, drugiego wcielenia Wodza Uyi.

Na wzgórzu przygotowywano się do polowania. Nikt nie wymawiał imienia Ugh-lomiego z obawy, aby go nie przywołać. Polowanie trwać miało dzień lub dwa, a celem jego był Ugh-lomi, który w przeciwnym razie zacząłby polować na nich.

Tymczasem Ugh-lomi leżał, cichy i spokojny, obok legowiska lwa, a Eudena czuwała nad nim z włócznią w ręku, zbroczoną krwią lwa.

(CIĄG DALSZY NASTĄPI).



Ogarnęła ją radość...

wody i trzciny rozchyliły się... Nadszedł koniec.

Otworzyła szeroko oczy, aby zobaczyć, co skrada się do niej przez trzciny. Przez chwilę zdawało się jej, że widzi wielką głowę i szczęki lwa, ale było to złudzenie... Była to jakaś ciemna, drobna, milcząca istota, ale w każdym razie nie lew. Nastała znowu cisza. Wytrzeszczyła oczy. Czyżby to była jakaś wielka żaba? Poruszyła głową, orjentując się w ciemnościach.

Rozległ się szelest i dziwna istota poruszyła się. I równocześnie jęknęła głucho.

Ogarnęła ją radość. — Ughlomi? — szepnęła.

Istota zatrzymała się. — Eudena? — odpowiedziała cicho, głosem bolesnym, wpatrując się w ciemność.

Istota poruszyła się znowu i wyszła z pomiędzy trzcin na przestrzeń, skąpaną w świetle księżyca. Pokryta była cała ciemnemi plamami. Eudena ujrzała, że czołga się i że w ręku dzierży siekierę, pierwszą siekierę. W jednej chwili zerwał się na czworaki i zaczął zbliżać się do niej. — Lew — rzekł dziwnym głosem, w którym przebijało podniecenie i trwoga. — Wau! Zabiłem lwa. Własnemi rękoma. Tak, jak zabiłem wielkiego niedźwiedzia. — Poruszył się, jakby chcąc zaakcentować te słowa i nagle padł z okrzykiem bólu. Przez pewien czas nie poruszał się.

— Uwolnij mnie — szepnęła Eudena. Nie odpowiedział, ale przyczołgał się do niej, wsparł się o olchę i przeciął krępujące ją więzy swoją ostrą siekierą. Słyszała, że szlocha przy każdem poruszeniu. Przeciął więzy na jej piersiach i ramionach, a potem ręka jego opadła. Oparł się piersiami o jej ramiona, obsunął na ziemię i pozostał bez ruchu.

Uwolniła się teraz z łatwością. Odstąpiła od drzewa i zakręciło się jej w głowie. Nawpółprzytomna zwróciła się ku niemu. Ale siły ją opuściły. Upadła na ziemię. Ręka jej dotknęła się jego łydki. Była miękka i mokra... Wydał okrzyk bólu, pod jej dotknięciem poruszył się konwulsyjnie i zemdlał.

Przez trzciny przemknął nagle jakiś cień. Zatrzymał się, zaczął węszyć, wkońcu odwrócił się i przepadł w ciemnościach.

Leżeli długi czas bez ruchu w świetle księżyca. Zwolna, w miarę jak zachodził księżyc, okrywał ich cień, rzucany przez trzciny. Cień zakrył najpierw nogi Ugh-lomiego, posunął się do jego piersi, do szyi, wpełznął na twarz i wkońcu pochłonął go. Wśród mroku dał się słyszeć odgłos instynktownych poruszeń, tupot nóg,

MODELKA
Fot. Willinger — Wiedeń



NASZ KONKURS WIELKANOCNY.



P. Wanda R-ska, Pabjanice.



P. Zofja Wiluszowa, Jasło.

Napływ zdjęć stołów wielkanocnych wzmógł się znacznie w ostatnim tygodniu, ale ze względu na oddalający się okres Wielkanocy nie będziemy przydłużali terminu konkursu, lecz podając najciekawsze z ostatnio nadesłanych fotografij, kończymy tę pierwszą rewję „święconego", którą zamierzamy powtórzyć w następnym roku. Czytelniczki „Asa" poświęcą zapewne w tym czasie więcej uwagi kwestji nakrywania stołu wogóle a urządzaniu zastaw okolicznościowych w szczególności. Jak z nadesłanych zdjęć możemy zaobserwować, sprawa ta wymaga pewnego przygotowania, jak niemniej poczucia estetyki, aby stół zasłużyć mógł nietylko na pochwałę, ale i podziw.

Jesteśmy przekonani, że potrawy, uwiecznione na zdjęciach naszego konkursu wielkanocnego były prawdziwie smaczne i zdrowo przygotowane. Ale nietylko smak poszczególnych dań decyduje o ich powodzeniu wśród biesiadników. Podawanie potraw, sposób ich podziału i ułożenia na półmiskach, salaterkach, tacach itd., a następnie estetyczne, z pewnym smakiem artystycznym ustawienie na stole, przyczynia się w nierównej mierze do pobudzenia apetytu uczestników przyjęcia, czy będą to sami domownicy, czy zaproszeni goście.

Aby potrawy zastawione na wielkanocnym stole uwydatniły się należycie, muszą mieć odpowiednio duży stół, który nie spowoduje zatłoczenia półmisków. Plastyczne rozmieszczenie potraw na przestrzeni, zasłanej białym obrusem, to pierwsza zasada, o której zapominać nie wolno. Grupowanie półmisków według ich rozmiarów i zawartości — to niemniej ważne przykazanie, rozumiejącej swą rolę pani domu. Potrawy nie mogą być pomieszane „jak groch z kapustą", byle tylko pomieściły się na stole. Każda z nich odgrywa jakąś rolę w zastawie stołu, którą zależnie od tego czy jest ważniejsza, czy mniej ważna, uwydatnić należy przez właściwe miejsce i właściwe ustosunkowanie do innych dań.

Prócz mięsiwa, pieczywa, pisanek, baranka wielkanocnego, stają na stole butelki. I one mieć powinny swój dobrze obmyślony kącik. Grupa flaszek czy ich uszeregowanie zależy od kształtów ich i wysokości. Chwila zastanowienia i przyjrzenia się im wystarczy, aby nasunąć pomysł ich estetycznego umieszczenia na stole.



Pp. Franciszkowie Danekowie, Warszawa.



P. Irena O., Toruń.



Pp. F. J. Sobiescy, Bydgoszcz.



P. Gizela Tomaszkowa, Limanowa,

NASZ KONKURS WIELKANOCNY.

Mamy jeszcze i kwiaty do dyspozycji. Ich zadaniem jest rozweselenie stołu, nadanie mu jeszcze bardziej odświętnego wyglądu. I im trzeba poświęcić ostatnie chwile uwagi, kiedy zastawiony stół obejmujemy spojrzeniem jako całość wykończoną. Na stole ze święconem nie stawiamy ich wiele, gdyż główną rolę dekoracyjną spełniają przyprawy jarzynowe, zastawionych półmisków. Prócz zieleni coraz więcej barw użyczają w tym czasie inspekty zapobiegliwych ogrodników.

Uwagi te nasuwają się nam przy bacznej obserwacji nadesłanych zdjęć tradycyjnego „święconego". Nie zrażamy się tem, iż nie wszystkie może dadzą się podciągnąć pod naszą charakterystykę zastawy stołu wielkanocnego. Sam fakt, że zostały nadesłane świadczy o wysiłku i dobrej woli pań domu, które korzystając w przyszłości z kontynuowanych przez Redakcję „Asa" wskazówek w dziale kulinarnym, przyswoją sobie zasady estetyki zastaw stołowych i będą mogły poszczycić się jak najlepszymi wynikami, nietylko w następnym naszym konkursie, ale także wprowadzać będą te zasady przy codziennych posiłkach domowych.

Jeżeli i z tego zakresu otrzymamy od naszych Czytelniczek dobre zdjęcia fotograficzne, chętnie je reprodukować będziemy nietylko dla zachęty innych gospodyń, ale przedewszystkiem jako wyróżnienie tych pań, które wskazówki „Asa" uwzględniać zechcą w codziennem życiu. Przy rozpowszechnieniu fotoamatorstwa, sprawa ta nie byłaby trudna do zrealizowania. Można nam bowiem nadsyłać nietylko odbitki, ale nawet niewywołane klisze. Każdy ładnie podany półmisek, każda salaterka oryginalnie ułożonych jarzyn, udane pieczywo czy zgrabne ciasteczka, fotografować należy, aby przy pomocy tych zdjęć propagować można było tradycje dobrej, znanej na całym świecie, polskiej kuchni.

Kącik dobrej gospodyni „Asa" staje tej sprawie do dyspozycji. Każda z pań, prócz własnej satysfakcji, będzie miała z tego powodu możność przysłużenia się tak ze wszech miar godnej wysiłku sprawie. Idzie lato, a z niem wszelkie możliwości kulinarne — oczekujemy, iż apel nasz nie pozostani bez echa.

W następnym numerze „Asa" zamieścimy orzeczenie jury konkursowego o podziale nagród, których fotografje już się ukazały na łamach naszego Magazynu.



P. Jerzy Kostka, Kleszczele.



P. Janina Nowakowska, Katowice.



Pp. R. Szporowie, Dwór Rzemiędzice.



P. A. W. Ł. pod Poznaniem.



P. Bronisława S., Lwów.



P. inż. R. Smolińska, Grodzisk (Wlkp.).

BLUZECZKI WRACAJĄ...



Kasak z białego jedwabiu, ozdobiony marszczonym kołnierzem i przodem w formie ryszy, prezentuje się bardzo korzystnie.



Bluzeczka koronkowa jest nietylko strojna i twarzowa, ale także praktyczna, gdyż znajduje wielostronne zastosowanie.

Jak można było — jeszcze kilka lat temu — obejść się bez rozmaitych bluzeczek, to dla nas jest dziś sprawą zupełnie niezrozumiałą. A jednak tak było. Poza bluzą sportową nie było miejsca na bluzeczki w garderobie pięknej pani. W spodniczce z bluzką nie można było w żadnym wypadku pokazać się popołudniu a tembardziej wieczorem, w teatrze, na dancingu, w restauracji, czy na proszonym obiedzie lub kolacji. Cóż znowu?

A jednak stało się to niepostrzeżenie, cicho, bez specjalnego preludjum. Nie podniósł się żaden głos protestu... Owszem dziś jesteśmy nietylko zadowolone, ale i zachwycone naszemi bluzeczkami. Z przyjemnością oglądamy na wystawach wszelkiego rodzaju bluzeczki na użytek codzienny, popołudniowy, bluzeczki wieczorowe i do teatru, wreszcie bluzeczki nawet wizytowe.

Ileż przytem miłych i praktycznych możliwości! Jeden kostjum a kilka bluzek, to całe bogactwo zmian na każdą porę dnia. Gdy do wełnianego kostjumu ubierzemy rano cienką bluzeczkę wełnianą, a popołudniu taftową, to tem samem dokonała się całkowita zmiana charakteru kostjumu. — Zmienił się jego styl.

Naturalnie, nie obojętną jest sprawa kapelusza. Nie można przy jedwabnej bluzeczce ubrać sportowego berecika.

Wśród bluzeczek najwięcej interesują tu nas bluzeczki wizytowe i wieczorowe, jako najbardziej charakterystyczne dla obecnego sezonu. Cieniutkie jedwabie, tafta i koronki służą do ich wykonywania. Krój prosty, różnice tworzą tylko sposoby wykończenia, przy pomocy kołnierzyków, żabotów, manszecików bardzo wypracowanych i guziczków.

Poniżej: Bluzka z białego jedwabiu jako uzupełnienie kostjumu sportowego nadaje całości charakter wiosenny i młodociany.



Poniżej: Efektowna kombinacja z czarnego tiulu i koronki — oto prezentowana przez nas kreacja bluzkowa, przeznaczona na wieczór.



Guziczki do bluzek są bardzo urozmaicone i pomysłowe. Szkło, barwna emalja, jasny metal — to ich substancje, z których powstają istne cacka, rozmaitych kształtów i odcieni. Formy geometryczne walczą tu o pierwszeństwo z naśladownictwem kwiatów o miniaturowych kształtach. Guziczki takie, dobrane starannie do koloru bluzeczki, ożywiają ją w szczególny sposób i przydają swoistego wdzięku. Dodane do zeszłorocznej, odświeżonej bluzeczki, mogą ją łatwo odmłodzić i odnowić do niepoznania.

Królowanie bluzeczki kończy się z nastaniem letnich upałów. Wtedy dopiero ustępuje ona częściowo miejsca lekkim sukienkom z barwnych materjałów, ale pozostaje nieoceniona jako uzupełnienie wieczorowego kostjumu z ciemnego jedwabiu lub tafty. **Mewa.**

Panie, o których mówi stolica:

IV

HEDDI ⋆ PATE

Cała Warszawa zna pięknego Packarda p. Heddi Pate i zachwyca się brawurową jazdą jego właścicielki, która w kostjumie, dostosowanym barwą do wozu, dzierżąc pewną ręką kierownicę, jest podziwianą zarówno przez znawców sportu samochodowego, jak i przez laików, wrażliwych jedynie na piękno linji. Rzadko bowiem się zdarza, by kobieta potrafiła przy tak pierwszorzędnej formie sportowej, zachować cały swój urok kobiecy i elegancję.

Nic też dziwnego, że na wszystkich konkursach piękności samochodów, urządzanych w Warszawie, wszystkie pierwsze nagrody przypadły w udziale p. Heddi Pate. Tę zatem wytrawną automobilistkę proszę dla „Asa" o kilka uwag na temat sportu samochodowego.

Pani Pate przyjmuje mnie w zacisznym gabinecie swej podmiejskiej willi. Jest chłodny dzień wiosenny, na kominku płonie ogień. W przyległym salonie pęki wspaniałych, cieplarnianych róż w olbrzymich wazonach dopełniają wytwornej dekoracji wnętrza. Jedną ze ścian zdobi prześliczny portret pani domu, pędzla Tadeusza Styki. Pełno artystycznych drobiazgów, do których stanowczo należy zaliczyć liczną gromadkę, bo liczącą aż siedm sztuk, prześlicznych rasowych sky-terrierów, baraszkujących na dywanach i tulących się do swej pani. Jest pięknie i bardzo kobieco...

Pani Heddi Pate wróciła właśnie z przejażdżki konnej i ma na sobie szykowny dress sportowy. Wygląda w nim jak młody, zgrabny chłopak.

— O sporcie samochodowym nie mogę nic rewelacyjnego powiedzieć — odpowiada p. Pate na moje pytanie. — W raidach nie biorę nigdy udziału; strasznie są nudne. Wyścigi, to zawody firm, zresztą życie mi jest jeszcze miłe. Stawałam jedynie kilkakrotnie do konkursów piękności samochodów, z tego raz na Packardzie hr. Skrzyńskiego. A jedynym wyczynem, którym mogę się pochlubić, to przeprowadzenie z Hamburga do Warszawy auta, które nadeszło z Ameryki. Jechałam sama jedna z Chichi, nestorem mojej psiej rodzinki. Teren zupełnie obcy, nowy wóz... to było rzeczywiście emocjonujące!

— A ja w życiu cenię tylko rozmach i tempo! Dlatego też całe moje zainteresowania sportowe przeniosłam na jazdę konną, która mi dostarcza niepowszednich wrażeń i emocji. Jeżdżę dopiero od półtora roku a już udało mi się zdobyć ośm nagród na zawodach hippicznych. Narazie próbowałam moich sił na prowincji: Lwów, Kielce, Radom, Sandomierz.

— W tym Sandomierzu — to była zabawna historja. — Stawałam wówczas wogóle poraz pierwszy do zawodów. Przyjeżdżam — patrzę — 32 oficerów, ja jedna jedyna kobieta. Oj, źle — pomyślałam sobie, ale cofać się nie wypada. No i zdobyłam na mojej arabce „Wiśle" czwarte miejsce!

— Po zawodach zwraca się do mnie gen. Wieniawa Długoszowski: „Wie pani, patrząc na jazdę pani, obawiałem się, że stanie się wielki skandal! Byłem pewny, że pani zdobędzie pierwszą nagrodę!"

— Teraz z końcem maja staję do międzynarodowych zawodów hippicznych w Warszawie. Trenuję zapamiętale! O szóstej rano już jestem na koniu. Przyjdzie mi się przecież zmierzyć z nielada asami jazdy konnej. Mam trochę tremy. Wierzę jednakże w moje konie, „Wisłę" i „Pustelnika".

Przeglądamy albumy z licznemi zdjęciami pani domu. Uwagę moją zwracają fotosy

(Dokończenie na str. 31).



Na prawo: P. Heddi Pate w dressie do jazdy konnej.



Poniżej: ...a tu w pięknym „Packardzie" z ulubionym pieskiem.



Poniżej, w kole: P. Pate bierze przeszkodę na konkursie hippicznym w Sandomierzu.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA WIOSENNA. 3 łyżki drobnej perlóweczki ugotować należy w małej ilości wody i w miarę narastania kaszki dolewać wody po trosze, rozkłucając rogalem. Garstkę szczawiu i szpinaku, parę listków sałaty głowiastej i troszkę kopru, opłukać dokładnie, zesiekać drobno i wrzucić do wazy, dodać 1/4 litra kwaśnej śmietany i 1 żółtko, wymieszać z zieleninką i tuż przed wydaniem zalać wrzącą zupą z perlówki, dodać soli i szczyptę cukru, dla amatorów troszkę pieprzu. Do zupy tej może być perlówka przecierana lub nie. W pierwszym wypadku podaje się do niej smażony groszek ptysiowy, w drugim podaje się ją bez żadnych dodatków.

GROSZEK PTYSIOWY. Pół szklanki wody zagotować z łyżeczką masła i szczyptą soli. Na wrzącą wodę wsypać 4 dkg mąki sypkiej i mieszać na ogniu aż zupełnie zgęstnieje, następnie ubijać do częściowego ostudzenia, wbić całe jaje i wybić na gładkie ciasto. Po zupełnem ostudzeniu wykładać po odrobinie na omączoną stolnicę wyrabiać małe groszki, które się albo piecze na posmarowanej blasze w piecyku lub też wysmaża na rozpalonem tłuszczu pływająco, nie rzucając naraz dużo, aby miały miejsce, bo wyrastają do podwójnej wielkości. Zrumienione wybiera się durszlakową łyżką i osacza na bibule.

SOS SZCZAWIOWY podaje się do jarskich kotletów twardych jaj, kotletów ziemniaczanych lub do sztuki mięsa. Sposób przyrządzania jest następujący: 15—20 dkg szczawiu obrać z szypułek i wypłukać dokładnie, rzucić do rondelka na łyżkę masła, posolić i dusić (bez przykrycia, bo zmieni kolor) tak długo, aż zupełnie zmięknie; wtedy przeciera się go przez sito, wkłada napowrót do rondelka, podprawia ósemką śmietany, rozbitej z łyżeczką mąki, próbuje, czy jest dość soli, ewentualnie złagodzić smak szczyptą cukru. O ile za gęsty, rozprowadzić troszką mleka lub wody.

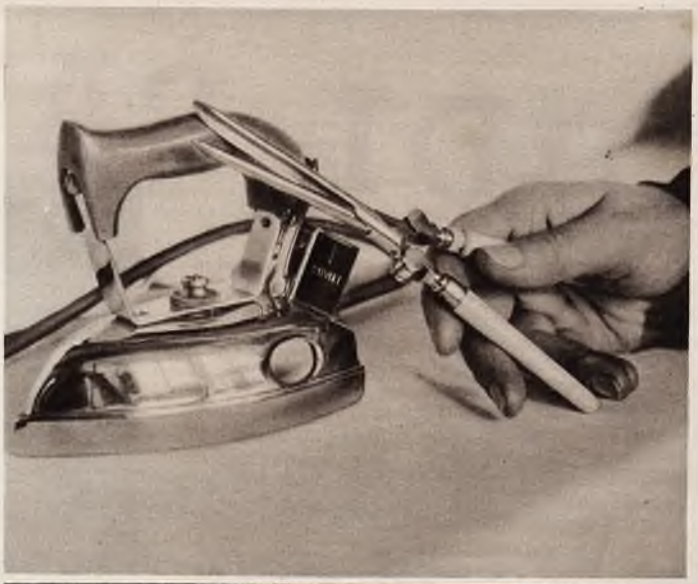
ZIEMNIAKI NADZIEWANE MIĘSEM LUB GRZYBAMI. Z wiosną, kiedy stare ziemniaki zaczynają kiełkować, należy postępować z niemi ostrożnie, gdyż wytwarzający się w miejscach kiełkowania jad, t. zw. solanin, jest dla wrażliwszych żołądków szkodliwy i wywołuje w przewodzie pokarmowym niemiłe zaburzenia. Należy więc przestrzegać, aby ziemniaki były teraz grubiej łupane, a miejsca, w których kiełkują, głęboko wybierane. Nastawiać do gotowania należy wodą zimną, która je musi dobrze na dwa palce przykrywać. Ugotowane i odlane z wody duże ziemniaki przekroić na połowę, wybrać z nich łyżeczką środki, które się miesza z paru łyżkami zmielonego mięsa, grzybów, szynki lub kiełbasy. Farsz zasmaża się na maśle z cebulką, do wystudzonego dodaje się całe jaje i łyżkę śmietany. Napełnione tym farszem ziemniaki układa się w rynce na maśle, posypuje tartą bułką lub parmezanem, kropi masłem i zapieka w piecyku przez 10 minut. Podaje się z sosem pomidorowym, szczawiowym lub ostrym dla amatorów.

SAŁATA WIOSENNA przyprawiona bywa z sałaty główkowej, garstki młodego szpinaku i tyleż szczawiu oraz z szczypiorku i czerwonej rzodkiewki. Zielone listki dobrze wypłukane kraje się i miesza razem, zaprawia winnym octem, solą, cukrem i troszką oliwy lub śmietany. Po wierzchu posypuje się szczypiorkiem i ubiera ładnie nadkrojoną rzodkiewką i twardem jajem.

PIECZEŃ CIELĘCA ZWIJANA. 1½ kg pieczeni cielęcej z łopatki lub dyszka wyluzować z kości, rozkroiwszy ją wzdłuż, następnie naszpikować gęsto młodą słoniną, posolić, popieprzyć, skropić cytryną, zwinąć ciasno i owiązać szpagatem. Tak przygotowana pieczeń odstawia się na 3—4 godzin, poczem się ją z wszystkich stron obrumienia na maśle na ostrym ogniu i wstawia do gorącego piecyka, gdzie się ma piec przy częstem polewaniu około 2 godzin. Na dopieczeniu posypuje się pieczeń tartą bułeczką lub mąką, polewa sosem i piecze jeszcze 10—15 minut. Gotową pieczeń wyjmuje się na półmisek, ostudza trochę, potem dopiero kraje w plastry. Każda pieczeń krajana na gorąco wypuszcza cały sok i staje się sucha. Pieczeń garniruje się jarzynami i krokietkami z ziemniaczków, sos zaś podprawia się śmietaną, rozbitą z łyżeczką mąki i podaje osobno w sosjerce.

MIĘSO CHRZANOWE. ulubiona potrawa Wiedeńczyków, podawana zwyczajnie na śniadanie. Na tę potrawę używa się wieprzowiny od brzucha, głowy lub kolanka. Mięso przystawia się do gotowania w garnku kamiennym lub grubym emaljowanym, nalawszy wodą do przykrycia, dodaje się łyżkę octu, cebulę, soli, całego pieprzu i listek bobkowy, zagotowuje, zdejmuje pianę, aby mięso było czyste i gotuje na kraju blachy powoli przez 1½ do 2 godzin. Trzonkiem drewnianej łyżki, która powinna łatwo wchodzić w mięso, próbuje się jego miękkość. Wyłożone na półmisek i pokrajane, posypuje się gęsto tartym chrzanem i polewa gorącym rosołem. Podaje się z ziemniaczkami w mundurkach. **Sc. Ko.**

ŻELAZKO GRZEJNIKIEM RUREK.



Praktyczne zastosowanie daje żelazko elektryczne z wyborowaną z boku dziurką, w której grzać możemy rurki do włosów.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat.	Tydzień 20 **Maj** Dni 31
Niedziela **10** Izydora	Zupa wiosenna z groszkiem ptysiowym. Jaja siekane na muszelkach. Pieczeń cielęca zwijana z sałatą. Tort serowy. Kolacja: Zimna pieczeń cielęca z sałatą wiosenną.
Poniedziałek **11** Adolfa, Beatryczy	Zupa rumiana "Julienne". Sztuka mięsa z sosem szczypiórkowym. Kurczęta smażone z sałatą. Biszkopt z kremem czekoladowym. Kolacja: Jaja w sosie szczawiowym.
Wtorek **12** Pankracego	Barszcz z uszkami. Ziemniaki nadziewane mięsem. Rosbef z ostrą sałatką jarzynową. Ciastka kruche z konfiturami. Kolacja: Leniwe pierogi.
Środa **13** Serwacego b.	Zupa cytrynowa z ryżem. Ruskie pierożki z słoninką. Polędwica wołowa po angielsku z ziemniaczkami i sałatą. Kompot z konserw. Kolacja: Jaja sadzone na szpinaku.
Czwartek **14** Bonifacego m. ☾	Rosół z kaszką krakowską. Sztuka mięsa zapiekana w beszamelu. Kurczęta nadziewane z sałatą. Budyń z bułek z sosem ponczowym. Kolacja: Makaron zapiekany z parmezanem.
Piątek **15** Zofii z córkami	Zupa szczawiowa z jajami. Kotlety ziemniaczane z grzybowym sosem. Szczupak lub sandacz z jajami. Krem kawowy z waflami. Kolacja: Awanturka: ser biały, sardynka, szczypiórek i rzodkiewka.
Sobota **16** Jana Nepom.	Pomidorówka czysta z kluseczkami. Kaszka krakowska z grzybami. Polędwica wieprzowa z kapustą lub kotlety cielęce z sałatą. Kolacja: Rizotto z szynką i groszkiem.

HUMOR ZAGRANICZNY

FACHOWE" KONSYLJUM.



— Co on właściwie ma, kochany kolego?
— 10 tysięcy złotych!

(„Rire").

PIETYZM HISTORYCZNY.



— Spędzi pan noc w pokoju, w którym król Henryk IV naznaczył pięknej żonie pana zamku pierwsze rendez-vous!
— A gdybyśmy tak odtworzyli tę historyczną sytuację?...

* * *

WSZYSTKO MOŻLIWE.

Zauberkind kłóci się już od godziny ze Sjilmanem. Wreszcie Zauberkind, wyprowadzony ostatecznie z równowagi, rzuca:

— Pan, panie Spilman, jesteś oszust, szubrawiec, świnia, aligator... i wogóle nie rozumiem, jak pan możesz po tem wszystkiem patrzeć mi w twarz?...

— No trudno, panie Zauberkind, do wszystkiego się można przyzwyczaić.

* * *

MARZENIA.

Trzej turyści — architekt, inżynier i dentysta wybrali się w Tatry na wycieczkę. Pod wpływem piękna Kasprowego poczęli snuć marzenia.

— Ja — wzdycha architekt — wybudowałbym olbrzymi hotel!

— A ja — powiada inżynier — połączyłbym ten hotel z Kuźnicami zębatą koleją!

— A ja — rzecze dentysta — całą *zębatą* kolejkę zaplombowałbym!

(Dokończenie ze str. 6-ej).

brazylijska. Jadąc nią na drugi dzień po wylądowaniu, przyszło nam rozkoszować się bajecznym kolorytem tamtejszej fauny i flory, która na Europejczyka działa oszałamiająco — niczem najpiękniejsza dziewczyna, których wiele spotkaliśmy, włócząc się potem ulicami Ria, lub plażą, piaskami Avenida Atlantica.

Życie, które tam wprost kipi, podsycane prawdziwie południowym temperamentem mieszkańców, ogniskuje się wieczorem w trzech olbrzymich kasynach Ria, z których „Copacabana" w zupełności zasługuje na miano brazylijskiego Monte Carlo. Najbardziej malowniczo położone nad zatoką „Urca" naraziło nas na stratę całego zarobku, jaki udało nam się uzyskać na miejscu za nasz fotoreportaż z powietrznej podróży.

I mimo tych niepowodzeń, gdy nadeszła chwila startu do lotu powrotnego, coś ścisnęło nas za serca, to coś, co związało nasze myśli chyba na zawsze z najpiękniejszym krajem na kuli ziemskiej.

Rodney.

(Dokończenie ze str. 15-ej).

Różnice w ciężarze gwiazd są stosunkowo niewielkie, bo masy gwiazd wahają się od 1/10 do 10 mas słońca.

Zato znów w materji, z której one są zbudowane widzimy szalone różnice: od rozrzedzonego gazu, parę miljonów razy lżejszego niż słońca, do gwiazdy obok Siriusa, zbudowanej z tak zagęszczonej materji, że 1 cm^3 jej ważyłby na ziemi 60 kg. Na wadze z jednej strony mógłby stanąć mężczyzna a z drugiej utrzymałby równowagę tylko naparstek tej materji!

Jak to jest możliw? Wiemy, że atom to przeważnie pustka. Stłoczone bardzo ciasno części atomu dadzą nam proporcjonalnie do „ściśnięcia" — odpowiednio ciężką materję.

Czytaliśmy często o rozszerzaniu się wszechświata, dzieje się ono z szybkością, wynoszącą około kilku tysięcy kilometrów na sekundę.

Przypuszczać należy, że powodem rozszerzania się jest utrata na masie gwiazd jako skutek ich ciągłego promieniowania w przestrzeń. Wiadomo przecież, że im masa mniejsza tem i przyciąganie mniejsze. N. p. ziemia wskutek zmniejszania się masy słońca oddala się od niego o 1 m i opisuje — ściśle — nie elipsę, lecz rozkręcającą się spiralę.

Utrata masy przez promieniowanie to nie drobnostka. Wynosi n. p. obecnie dla słońca 250 miljonów tonn na minutę (25 miljonów wagonów).

Powyższe parę faktów to zaledwie znikoma część tego, co obecnie wiemy o wszechświecie. Otworzyły nam oczy na zdumiewające tajemnice budowy przestrzeni i naszych w niej towarzyszy. To co wiemy obecnie, to, mimo wszystko jednak, tylko początek!

Jerzy Dołęga-Lewandowski.

(Dokończenie ze str. 29-ej).

w oryginalnych pozach i fantazyjnych kostjumach.

— To jest moje trzecia, poza autem i koniem, pasja. Taniec. W Ameryce, dokąd jeżdżę co roku, studjuję w jednej z pierwszorzędnych szkół baletowych, a mianowicie „Ned Weylborn" w Nowym Jorku, tańce charakterystyczne. Mam już za sobą kilka występów solowych na koncertach i wieczorach towarzyskich.

Patrzę na moją rozmówczynię z podziwem. Tyle zainteresowań i sportowych i artystycznych i to wszystko na tak wysokim poziomie!

— A czy to prawda, że pani uprawia także lekką atletykę? — pytam.

— Owszem, mam nawet POSa i Odznakę Strzelecką. Ale strzelam tylko do tarczy. Nie umierciłam nawej najmniejszego stworzenia. Kocham i cenię życie!

W kołach towarzyskich nazywają panią Heddi Pate „Sporting lady". Jest nią rzeczywiście w całem tego słowa znaczeniu.

Zofja Ordyńska.

NOWE KSIĄŻKI.

Nakładem Instytutu Bałtyckiego w Toruniu ukazał się obszerny, niemal 350 stron zawierający, tom pracy prof. Uniwersytetu poznańskiego dra **Łucjana Kamińskiego**, który zebrał, ułożył i wydał 285 **pieśni ludowych kaszubskich.**

Znakomity muzykolog objeżdżał wszystkie miejscowości Kaszub południowych wraz z fonografem, który na płytach notował wiernie to wszystko, co lud kaszubski śpiewa lub gra. W ten sposób nietylko powiększyły się zbiory fonograficzne Zakładu muzykologji Uniwersytetu poznańskiego, ale równocześnie mógł prof. Kamieński naukowo opracować bogaty zbiór pieśni i melodyj.

Tom pieśni ludowych kaszubskich zawiera przedmowę wydawcy, następnie teksty pieśni, nuty, a wreszcie indeksy, wedle których można szybko zorjentować się w treści poszczególnych utworów. W tomie tym znajdują się pieśni obrzędowe, liryczne, żartobliwe, satyryczne, opowieści ludowe, przyśpiewki do tańca, a wreszcie bogaty zbiór pieśni kościelnych.

Prof. Łucjan Kamieński zapowiada już drugi tom swej pracy, który poświęcony będzie pieśniom ludu z Kaszub północnych. Zaznaczyć należy, że **ciekawe reportaże** do swych wędrówek po ziemi kaszubskiej w poszukiwaniu pieśni drukuje prof. Kamieński na łamach **„Kurjera Naukowo-Literackiego"**, dodatku „I. K. C.".

Niedawno ukazała się w polskim przekładzie ciekawa powieść o życiu wielkiej artystki **Eleonory Duse.** Jest to powieść biograficzna, napisana przez **E. A. Reinhardta**, którą czyta się z zapartym oddechem jako fascynującą lekturę.

Eleonora Duse była jednem z najciekawszych zjawisk w historji teatru. Teatrem żyła od dziecka. Była dzieckiem aktorskiego małżeństwa z wędrownego zespołu, a na scenie wystąpiła po raz pierwszy jako 4-letnia dziewczynka. Teatr był dla niej całym światem, w teatrze poznała wszystko, zarówno blaski sławy, jak i nędze, miłość i gorzki często trud pracy.

Gdy miała lat 14 i sięgała po coraz większe role, dyrektor teatru powiedział do niej, że niepotrzebnie szuka czegoś w teatrze. Dla niej to daremne wysiłki. „Trzeba sobie poszukać innego zawodu". Ale Eleonora Duse znosiła wszystkie upokorzenia, walcząc o triumf prawdziwej sztuki. Wkrótce zasłynęła jako jedna z najświetniejszych artystek, a wielkie kreacje utorowały jej drogę w szeroki świat. Petersburg, Moskwa, Wiedeń, Paryż, Berlin, Ameryka były świadkami jej scenicznych triumfów. Miłość do teatru była równie wielką, jak płomienna miłość do Gabrjela d'Anunzio.

Miłość i cierpienia, nędze i triumfy Eleonory Duse przedstawione są w tej powieści z wielką plastyką, tak, że powieść ta będzie niewątpliwie bardzo poczytną lekturą.

NA SCENIE.

Korzystając z gościny **Ludwika Solskiego** w teatrze krakowskim im. **J. Słowackiego**, przedstawiciele społeczeństwa przygotowali mu uroczystość jubileuszową z okazji 60-lecia jego niezmordowanej pracy scenicznej. Uroczystość ta odbyła się w czasie przedstawienia fragmentów dramatu Słowackiego **„Złota Czaszka"**, w których Solski stwarza jedną z najświetniejszych swych kreacyj. Solski mimo dziewiątego krzyżyka lat, jaki dźwiga na swych barkach, obarcza je jeszcze wielkiemi i męczącemi rolami, jak Judasz, Wielki Fryderyk, Łatka. W roli strażnika Krzemienieckiego stwarza obecnie Solski postać artystycznie najszlachetniejszą i najprawdopodobniejszą.

Przedstawienie „Złotej Czaszki" przygotowane zostało bardzo starannie i otrzymało dobrze skomponowaną i wykonaną dekorację wnętrza dworku strażnika Złota Czaszka, którą projektował dyr. K. Frycz. Z wykonawców drobnych i fragmentarycznych ról na czoło wysunęła się Irena Starkówna, która bardzo szczerze i głęboko artystycznie ujęła postać Gnusi. Inne role miały dobrych wykonawców, zwłaszcza na wyróżnienie zasługują W. Nowakowski (Koniecpolski), J. Karbowski (Gąska), M. Węgrzyn (Stanisław), J. Kaliszewski (Kleofas), Tadeusz Kondrat (Jankiel), K. Szubert (Ksiądz).

W **Teatrze Miejskim w Sosnowcu** reżyser Gołaszewski przygotował starannie komedję **Bałuckiego „Grube ryby"**. Przedstawienie bawi, rozśmiesza widzów, a to przecież główny cel komedji. — Świetny typ Ciaputkiewicza daje Fertner, a dwie popisowe role Wistowskiego i Pagatowicza grają Galczewski i Łuczkowski. Miło role kobiece grają Arciszewska (Dorota) i Grzymalanka (Helenka).

Teatr Wielki we Lwowie po „Grubych rybach" gra komedję węgierskiego pisarza Stefana Bekeffego **„Nieusprawiedliwiona godzina"**, na której publiczność bawi się doskonale. Tematem komedji jest tęsknota młodej, 18-letniej mężatki do... szkoły! Komedja otrzymała dobrą obsadę. Główną rolę mężatki gra Martini, a partnerami jej są Krzywicka, Krasnowiecki, Machalski i Berski, który stworzył świetny typ profesora oryginała.

W **Łodzi Teatr Miejski** wystawił sztukę Henryka Bernsteina **„Intruz"**. — Gościnnie występuje w niej wybitnie utalentowany artysta dramatyczny Edward Żytecki. — Dobrych partnerów ma w Skrzydłowskiej, Benicie, Hierowskim, Kalinowskim, Pelińskim i in.

Teatr w Kaliszu zdobywa sobie coraz większą popularność dzięki kierownikom zespołu E. Dąbrowskiemu, L. Śniadeckiej i L. Zbuckiemu. Zespół bardzo starannie przygotował **„Zaczarowane koło"** Rydla, w którem m. in. grali Śniadecka (wojewodzianka), Zbucki (wojewoda), Pietruszyński (Jasiek), E. Dąbrowski (drwal), Bursowa (młynarka). Teatr kaliski gra równocześnie komedję Kiedrzyńskiego **„Cudzik i Eka"**, w której główne role mają dobrych odtwórców w Zbuckim, Krokowskim i Pietruszyńskim.

To warto poznać...

Wystawa obrazów Z. Haupta we Lwowie.

Młody, utalentowany malarz Zygmunt Haupt, którego ilustracje Czytelnicy nasi znają z licznych numerów „Asa", urządził ostatnio we Lwowie wystawę swych prac w gmachu dawn. „Słowa Polskiego". Wystawa, ciesząca się dużem zainteresowaniem publiczności, obejmuje liczne studja z Paryża i Śląska. Prace Z. Haupta odznaczają się oryginalnem ujęciem i swoistym „rozmachem".



„Muzyka na ulicy"
z wystawy Z. Haupta we Lwowie.

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, 10 maja.

11.25: „Pod banderą statku „Batory" audycja muzyczna.

12.15: Poranek muzyczny w wyk orkiestry symfonicznej filharmonji krakowskiej (transmisja ze „Starego Teatru").

15.25: Feljeton: „Przygoda w Sienie" wygł. Ludwik Świeżawski.

16.00: „Hejże do mazura" tańce w wyk. ork. mandolinistów.

16.15: Melodje operetek w wyk. Maryli Karwowskiej.

16.55: Teatr wyobraźni: słuchowisko: „Irydjon" Zygmunta Krasińskiego.

18.00: Z hotelu „Bristol" w Warszawie: „Podwieczorek przy mikrofonie".

20.00: Fragment koncertu z Teatru w Cieszynie.

21.00: „Na wesołej fali lwowskiej".

Poniedziałek, 11 maja.

15.30: Koncert w wykonaniu małej ork. P. R.

17.00: „W kancelarji adwokackiej" skecz Szymona Figwy.

17.20: Duety w wykonaniu Izy Roli i Berty Bragińskiej.

18.00: Recital fortepianowy Jana Strauss'a.

20.00: Przemówienie dyr. progr. P. R. Góreckiego z pl. Łukiskiego (Wilno) transm. apelu wojskowego.

21.15: „Na śmierć Bohatera". — Wykonawcy: ork. symf. P. R. pod dyr. Grzegorza Fitelberga oraz chór „Harfa" pod dyr. prof. Wacława Lachmana.

22.30: „Przemówienie Józefa Piłsudskiego nad trumną Juljusza Słowackiego", fragment z „Króla ducha" J. Słowackiego.

Wtorek, 12 maja.

7.45: z Wilna: Nabożeństwo w kościele św. Teresy i pochód żałobny. Przeniesienie Serca Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego i prochów Jego Matki śp. Marji z Billewiczów Piłsudskiej do Mauzoleum na cmentarzu Rossa.

17.30: „Pogrzeb Kazimierza Wielkiego" — kantata Bolesława Wallek-Walewskiego do słów Stanisława Wyspiańskiego, w wykonaniu chóru pod dyr. kompozytora.

19.45: Pieśni żałobne w wykonaniu chóru Katedralnego w Poznaniu pod dyr. ks. prof. dr. Wacława Gieburowskiego.

21.15: „Ostatnie werble" poemat symfoniczny Jana Maklakiewicza (prawykonanie).

21.40: „Rapsod Wawelu" — audycja poetycka z fragmentów dzieł Stanisława Wyspiańskiego.

Środa, 13 maja.

15.30: Z schubertowskiej teki — (płyty).

16.20: Pieśni polskie w wyk. Olgi Łady.

17.00: „Dyskutujmy": „Obywatel i urzędnik" K. Jabłoński i K. Sokołowski.

17.20: Koncert w wyk. kwartetu smyczkowego:

20.00: Recital skrzypcowy Rafała Manne, przy fort. Helena Piltzówna.

21.00: Koncert Chopinowski.

21.30: „Plon Sejmiku Ortograficznego", szkic literacki Karola Irzykowskiego.

Czwartek, 14 maja.

12.15: Poranek muzyczny dla młodzieży szkół powszechn.

13.15: Na fali paryskiej (płyty).

15.30: Koncert muzyki lekkiej

16.00: „Wiosna zwierząt w niewoli" pogadanka dla dzieci wygł. prof. St. Sumiński i Jerzy Dylewski.

16.15: Pół godziny muzyki kameralnej (płyty).

17.15: „Melodje gór" — koncert w wyk. Ork. kameralnej pod dyr. dr. Adama Hermaan.

20.00: „Bunt bajek" audycja muzyczna w opr. Zofji Nawrockiej i M. Eryano.

21.00: Powszechny Teatr Wyobraźni: słuchowisko oryginalne Jadwigi Korczakowskiej pt. „Operacja".

22.30: Koncert życzeń z płyt.

Piątek, 15 maja.

12.45: Koncert symfoniczny z udziałem Bronisława Hubermana (płyty).

13.20: Italja rozśpiewana (płyty).

16.00: Pogadanka dla chorych w opr. ks. kap. Michała Rękasa.

17.00: „Skarby Polski" — „Lotnictwo polskie", odczyt wygł. gen. Ludomił Rayski.

19.00: Pogadankę: „Puhar Davisa" wygł. Witold Horain.

20.00: „Pierwszy monolog Drucika" Jana Tyszkiewicza.

Sobota, 16 maja.

12.25: „1000 taktów muzyki" w wyk. zespołu Stefana Rachonia.

13.15: Południowy koncert popularny. Wykonawcy: Koło Mandolinowe Polskiej YMCA. pod kier. Marjana Kosteckiego, Stanisław Sadus (róg solo), oraz tercet harmonijek ustnych pp. Gaweł, Łapuszek i Zakulski.

15.30: Koncert kwartetu salonowego rozgłośni krakowskiej.

16.15: Słuchowisko dla dzieci „O kapryśnej królewnie i ślepiej dziewczynce".

17.00: Koncert solistów.

19.00: J. M. Skiwski: „Na przełaj" recytuje Antoni Augustynek.

21.00: Audycje dla Polaków zagranicą: „Wycieczki i turystyka".

21.30: „Wesoła Syrena".

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego Magazynu »As«, zamieszcza Redakcja bezpłatnie.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S.A. — PRINTED IN POLAND.